NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok I. Kraków, 17 grudnia 1904 r. Nr. 12.

Upadek z mostu w rzekę.



(Do artykułu na str. 4).

Numer ten zawiera 24 stronic druku!

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

11 (Ciąg dalszy).

O świcie powstał z posłania i boso, wsunął się po cichu do pokoju, w którym Zosia z Sabinką sypiały w jednem łóżeczku. Delikatnie dotyka ustami czoła dziewczątek. Potem wraca, ubiera się pospiesznie i ucieka.

Dokąd się uda?

Wszystko mu jedno — gdzie go oczy poniosą.

Warszawa śpi jeszcze. Tylko rzadkich przechodniów spotyka na ulicy Chmielnej. U jej zbiegu z Nowym Światem zwraca się na prawo. Na placu Trzech Krzyży zatrzymuje się przed kościołem. Wchodzi do cichej świątyni, tonącej jeszcze w cieniach poranka. Na wielkim ołtarzu płoną jednak już świece, a ksiądz odprawia mszę świętą.

Malec ukląkł i zamknął powieki. Jakby we śnie widzi rodzinę, którą porzucił. Niebieskie oczęta Sabinki i Zosi uśmiechają się do niego życzliwie, lecz babka spogląda nań surowo. Obraz widzenia zasłania wyobraźnia innym. Spostrzega Marcina, który mu był dobrym ojcem, stojącego przed sądem. Sędziowie wygłaszają wyrok, skazujący Żarskiego na Sybir. Och, jakie to straszne! jakie bolesne! Nigdy chwili tej nie zapomni. Wszakże wyrok drugi raz w życiu uczynił go sierotą.

Ocknął się. Powstaje z klęczek, żegna się i chwiejnym krokiem wychodzi z kościoła.

Idzie... idzie przed siebie. Przed Belwederskim pałacem mija dobrze sobie znaną drogę, w dół spadającą i wiodącą do Łazienek. Zwraca znowu na prawo i po kilku minutach dociera do Mokotowskich rogatek. Przeciska się między chłopskiemi wozami, na targ spieszącymi... i rusza dalej.

Na szosie droga kopna, mało przetarta. Idzie udeptaną ścieżką, nad rowem.

W Mokotowie, zbiega do parku, w którym był w lecie, z Marcinem i siostrzyczkami a w którym się tak dobrze bawił. Lecz dziś trawa nad stawem nie zieleni się, jak niegdyś; zasypał ją śnieg grubą płachtą białą. Olbrzymie drzewa rozpościerają nad jego głową rozłożyste konary, pokryte szronem, iskrzącym się dyamentowymi blaskami w promieniach zimowego słońca. Stanął, patrząc na przeobrażenie się przyrody zdumionem okiem.

Nagle, pod pałacem, ktoś huknął donośnym głosem:

— Hej tam! a po co?!

Chłopiec się przelękł. Myśli, że to na niego wołają. Strwożony, spieszy na przełaj pod górkę, przedziera się między ciernistymi krzewami, w śnieg po pas zapada... lecz wydostaje się nareszcie z dołów, wykopanych w jesieni na nowe drzewka zasadzić się mające na wiosnę i wybiega na gościniec przez boczne, folwarczne wrota. Ogląda się za siebie, czy go kto nie goni. Dzięki Bogu — nie. Mijając cegielnię słyszy, jak bije dwunasta.

Czuje się zmęczony, lecz idzie dalej... ale coraz wolniej, coraz wolniej.

O parę wiorst za Mokotowem siada na kupie kamieni i odpoczywa. Nie czuje zimna, bo niezwykły dlań ruch rozgrzał go i spocił — lecz głód zaczyna mu dokuczać.

W tem wiatr się zrywa, niebo chmurzy się i śnieg pruszy... coraz gęściej, coraz gęściej.

Trzeba wstać i iść dalej, bo chłód na wskroś go przenika.

Rusza naprzód. Znowu przed siebie.

Idzie i idzie, a w głowie mu się kręci. Wiatr wyje i zasypuje oczy mokrymi płatkami śniegu. Nie widzi już ścieżki nad rowem, po której szedł dotąd. Wtem... noga mu się pośliznęła, zachwiał się i spada w rów — w zaspę, jak puch miękką. Leży czas jakiś nieruchomy, znużony, bezwładny. Bólu nie czuje żadnego, a powieki mu się kleją... Spać chce — zasnąć na dobre.

Nagle, przypomina sobie opowiadanie Marcina o ludziach, którzy na śmierć zmarzli, usypiając wśród śniegu. Chce się podnieść – nie może. Nogi nie znajdują twardego oparcia, na którem mogłyby się utrzymać — więc z trudem i męką czołga się na rękach i kolanach i wyłazi na drugą stronę rowu. Tu już czuje grunt pod stopami, powstaje, prostuje się, otrząsa śnieg z odzieży.

Tymczasem noc zapadła... czarna, groźna, straszna noc zimowa.

Słyszy jakiś szum i trzeszczenie nad głową. To drzewa przydrożnego lasku tak się kołyszą, szarpane wichurą. Nie wie, w którą udać się stronę. Wylazłszy z rowu stracił zupełnie pojęcie o kierunku. Więc wsuwa się pod krzak jałowcu, grubo przykryty śniegiem, siada na ziemi... i płacze. Głośne jego łkanie rozlega się wśród drzew i dolatuje uszu innego chłopaka, który także widocznie nie śmie iść dalej, bo przytulił się całem ciałem do niskiej sosenki, szeroko rozpościerającej w około ubielone gałęzie. Czeka na ustanie zawiei.

Płacz go wzrusza, więc przystępuje do Janka.

– Co ci to? Sam jesteś?... Mężczyzna, a mażesz się, jak cztery dziewki. Zabłądziłeś, co?

Nie słysząc odpowiedzi, plecie dalej z werwą warszawskiego ulicznika.

— Czy i ty może, jak ja, sprzedajesz figurki gipsowe, które Włoch, Bombalini, wyrabia w fabryce na Elektoralnej?... Oho! miałem dziś dobry dzień. Na desce, która tam leży – wskazał palcem pod choinę — ani jednego Napoleona, ani Sobieskiego, ani księcia Józefa... ani Panienki Najświętszej... a w kieszeni — uderzył się po biodrze — cały srebrny rubel i fura miedziaków. W mieście mi jakoś nie szło z rana. Aż przypominam sobie, że jedna dobra pani, co przyjeżdża nieraz do kościoła na Woli, a mieszkająca tu nie daleko... ot tam za borem... powiedziała mi kiedyś, żebym, jak będzie pogoda, zaszedł do niej z figurkami, więc nie wiele myśląc... słońce, niby w lipcu świeciło dziś w południe... macham w drogę. I dobrzem zrobił. Sprzedałem cały kram i dostałem gorący podwieczorek: kawę ze śmietanką, z grubym na palec kożuchem... a do torby bułkę chlebunia pytlowego i kawałek sera. Cieszę się, że ciebie spotkałem, bo ci pomogę wyjść z opresyi i pozbyć się melancholii, w którą widzę popadłeś mazgaju.

— Jakże ty mi dopomożesz?

— Przedewszystkiem nakarmię... a potem na drogę, pod miasto wyprowadzę, bo ja tu znam każdy rowek, każdą bruzdę, każdy kamyczek!

Janek zasępił się i znowu zamilkł.

— Nie bój się mnie! wszyscy wiedzą, żem honorowy i poczciwy. Zowię się Pietrek, ale przezwano mnie po italsku Marco Spada, bo to w handlu jakoś ładniej brzęczy. Mam lat czternaście. Przynajmniej tak mówią. Kaduk by tam dochodził, kiedy się człek urodził... Od kiedy zapamiętam, mieszkałem zawsze za Wolskiemi rogatkami, niby na Czystem, przy ojcu, którego zowią Czupiradło i przy matce, wabiącej się Złota Rączka. Mądra baba! wszystkimi ozorami, jakie są tylko w świecie, gada!... Mam także siostrzyczkę, Rózię, którą gwoli interesu handlowego, przezwano z włoska, Graziellą. Śliczności dziewczyna, a dobra, jak aniołek. Lata ze mną po całej Warszawie, a gdy się zmęczę, to ona woła: *„Belle... belle figurine!“* bo tak nas Bombelini nauczył, że to łatwiej sprzedać, jak się po italjańsku krzyczy. A ona... to jest moja siostra, rozumiesz... cudnie umie nanawiać do kupna. Wychwala i przychlebia się, że ha! Aż słuchać miło! To też oboje, nie ledwie codzień zarabiamy na życie...

— Jestem sam jeden na świecie — rzekł nieco ośmielony Janek — a chciałbym także zarabiać.

— No, no! patrzcie. Sam jeden jesteś na tym padole płaczu, jak mówi Złota Rączka.

— Tak.

— Sierota?

— Tak.

— A dziś zdychasz z głodu, robaku. Widzę to; blady jesteś, kieby upiór... A i spać ci się chce, co? Pewno nie wiesz, kędy masz pójść się przespać?

— Tak.

— No, naprzód trza się pożywić. — Wydobył z torby chleb i ser. – Kąsaj, i niech ci to pójdzie na zdrowie! Zjedz wszystko, ja nie głodny. Obuchałem się kawą i słodkimi rogalkami u dobrej pani. — Widząc, że chłopiec nie zabiera się do jedzenia, dodał. — Nie wstydaj się, tylko połknij raz, dwa i basta. Ze mną musisz być, jak z bratem.

Janek jednak zmęczony, zziębnięty i nie zdający sobie jeszcze sprawy z położenia, zamilkł znowu i głowę pochylił na piersi. Pietrek podniósł ją ręką w górę.

— Hej! hej! niedołęgo, mówię ci: smutkowi nie masz się poddawać. Porzucili cię? wypędzili?... domyślam się tego. Nie wiesz, w którą stronę się obrócić? Ha, wielka rzecz! Ja cię zapraszam do siebie na mieszkanie. Pójdziesz ze mną, zaprezentuję cię rodzicielowi i rodzicielce galanto... jeśli ich zastaniemy w domu, bo oni po nocach włóczyć się lubią. Prześpisz się przy mnie, a jutro rano namyślisz się co robić dalej. Może matczysko ulituje się nad tobą i weźmie cię do roboty. Złota Rączka lepsza od Czupiradła. Teraz papaj... bo wiatr ustał, łysy wyjrzał z za chmur — wskazał na księżyc, który istotnie wytoczył się z poza białych obłoków — trzeba będzie dymać co sił do domu, bo to kawał drogi!

Chłopiec, jakby tym razem przekonany, zjadł kawał chleba z serem.

— Nie możesz więcej? — spytał Piotruś.

— Nie mogę.

— Ja to znam, gdy człowiek mocno się przegłodzi, to najsmaczniejszy kąsek kością w gardle się być zdaje, a żołądek przyjąć nie chce... Ale komu w drogę, temu czas. Ruszajmy!

Poskoczył pod sosenkę, leżącą tam deskę z kolcami do utrzymywania figur gipsowych ustawił zręcznie na głowie, podał rękę towarzyszowi i krzyknął:

— Marsz!

Prowadził go doskonale, jakby w biały dzień! Czasem tylko potknęli się gdzieś na jakimś wyboju, pod śniegiem ukrytym, albo zaczepili poły odzieży o kół od płota, przez który trzeba było przełazić, bo omijali gościniec, żeby drogę skrócić. Janek ogrzewał się przyspieszonym krokiem, aż twarz zaczerwieniła mu się od kraśnych rumieńców. Gdy nareszcie przeszli rogatkę mokotowską pod spuszczonym szlabanem i znaleźli się na Marszałkowskiej, oświetlonej dwoma długimi rzędami latarni gazowych, Pietrek podskoczył w górę i zawołał na głos:

— Belle... belle figurine!

Poczem zachichotał wesoło.

— Widzisz, tu już jesteśmy bezpieczni: tu już nas żaden andrus nie obedrze, ani skantuje, bo byśmy mu się przy jasności nie dali, a zanimby majchra dobył, już podstawiłbym mu nogę i położył jak cielaka na śniegu. Dlatego krzyknąłem z całej piersi, chociaż nie mam figurek na sprzedaż. W dzień, z takiem wołaniem wchodzę na podwórka. Ludzie wiedzą, co słowa włoskie oznaczać mają. Jeśli kto ma ochotę na jakiego świętego albo na Napoljona, to czasem wyjdzie, a czasem przez lufcik wyjrzy i każe przyjść do kuchni lub do sieni. Dziś sprzedałem wszystko... wszystko! Dwór dobrej pani rozkupił co tylko miałem, do ostatniej sztuki. Niosę więc do budy półczwarta rubla.

— Rodzice twoi się ucieszą?

— Ma się rozumieć! To przecie kupa grosza.

— A siostrzyczka?

— I ona też... chociaż, Bogiem a prawdą, nic jej z tego nie przyjdzie. Żebyś wiedział, co to za dziewczyna — cmoknął ustami — istny cukierek!... Złota Rączka bije ją niekiedy, lecz ja, skoro to zobaczę zaraz ją bronię. I ty musisz bronić, ani pozwalać, żeby jej brzydkiemi słowami wymyślano. Nie pozwolisz?

— Nie pozwolę — szepnął Janek i zamyślił się, bo przypomniał sobie Zosię i Sabinkę, które tak bardzo kochał. Przejęty do głębi smutkiem, powtarzał sobie w duchu: „Kiedy ja je zobaczę! kiedy ja je zobaczę!“ Biegł przy Piotrusiu, wytężając siły, żeby mu w biegu dorównać, na nic nie patrząc, nic nie widząc, z jedną myślą w mózgu: „Co one teraz robią? Gdzie się przeniosły?“

Chłopcy pędzili teraz jeszcze żwawiej.

Przemknęli jak strzały, przez jedną, drugą i trzecią dzielnicę, położone między mokotowskiemi a wolskiemi rogatkami. Za ostatnią trzeba było przejść całą długą, główną ulicę przedmieścia, a potem, skręciwszy na bok, zawracać raz na lewo, to na prawo, wśród nieregularnie rozrzuconych lichych kamieniczek i drewnianych domków. Piotr znał okolicę, jak swoją kieszeń i wiódł spotkanego prosto do celu.

— Widzisz, tam... ta pochylona rudera, a nad nią facyatka na piętro... to nasza buda...

— Dokąd mnie prowadzisz? Boję się... boję! — szepnął Janek, nagle jakby ze snu ocknięty. Wychowany w śródmieściu, nie znał zaułków Warszawy i przestraszył się na widok brudnego, odrapanego, niemal walącego się domostwa.

— Prowadzę cię do siebie — odparł Pietrek tonem wyrzutu. — Jeśli mi nie ufasz, powiedz słówko... jeszcze czas. Odprowadzę cię, gdzie zechcesz... do twego opiekuna, czy rodziców. Jeśli namawiałem, byś u nas przyjął gościnę, byś stancyjką moją ze mną się podzielił, to tylko dlatego, że mi ciebie żal... że wzbudziłeś we mnie litość...

— O! — zawołał Janek, mimowoli wzruszony dźwiękiem szczerości, tętniącym w głosie towarzysza — jesteś dobry... bardzo dobry! Idę z tobą... nie chcę cię porzucić.

XIII.

Na progu tak zwanej przez Piotra „budy“ stała dziewczynka, liczyć mogąca nie więcej jak lat dziesięć, znana w całej dzielnicy pod imieniem Grazielli, chociaż zwała się naprawdę tylko — Rózią.

— Nareszcie! — zawołała, ujrzawszy chłopców. — Byłam już o ciebie bardzo niespokojna. Bałam się, czy co złego ci się nie stało.

— Kto jest w domu?

— Prócz mnie niema nikogo. Czupiradło i Złota Rączka poszli do „bawaryi“ na Wolską ulicę.

— Po co?

— Sprzedawać pomarańcze gościom. Chcieli mnie zabrać z sobą, lecz powiedziałam: „Nie pójdę, głowa mnie boli, ledwie się na nogach trzymam“. Bo widzisz, ile razy na czas nie przychodzisz taka straszna obawa mnie dręczy, że nic robić nie mogę. Zdaje mi się, że już ciebie więcej nie zobaczę.

— O, jakaś ty dobra! — rzekł chłopak, ściskając Rózię w objęciach i całując ją kilkakrotnie w oba policzki.

Weszli do ponurej izby, oświetlonej płomieniem małej lampki naftowej.

— Przystąp tu stary — powiedział Pietrek zwracając się do towarzysza — i spojrzyj jaką to ja mam siostrzyczkę cacaną. Prawda, że cudo? Hę, co? To też kocham ją nad wszystko w świecie!... Ale, ale, jak masz zuchu na imię? Dotąd jeszcze nie przyszło mi na myśl zapytać cię, jak się wabisz.

— Nazywam się Jan... Janek

— Janek! — powtórzyła Graziella, zbliżając się do zmieszanego chłopca.

Oboje patrzyli na siebie czas jakiś w milczeniu. Serce Rózi ścisnęło się na widok wątłego i wynędzniałego chłopaka. Jego ogromna głowa, gęste włosy, spadające na czoło w nieładzie, jak pomierzwiona grzywa końska, duże czarne oczy, pełne obawy i niepokoju, wszystko to razem wywarło na dziewczynie dziwne wrażenie, połączone z litością. Bo też Janek i Graziella przedstawiali niezwykły kontrast o krańcowej sprzeczności. Jej pogodne oczy i jasne włosy w długich warkoczach spływające na ramiona, jej ruchy zgrabne i pełne wdzięku, tworzyły całość czarującą, na której oko z rozkoszą spocząć chciało, gdy biedny sierota był raczej brzydkim, a ludziom pospolitym, nie szukającym i nie umiejącym dopatrzeć się duszy w wyrazie twarzy potwornego dziecka, mógł wydawać się nawet wstrętnym.

Rózia podała chłopcu rękę, który wyciągnął do niej swoją. Nieruchomi czas jakiś, spoglądają na siebie dość długo, jakby chcieli wrażenie pierwszego spotkania wrazić i utrwalić w pamięci na zawsze.

Nareszcie Graziella przerywa milczenie i pyta:

— Czy na długo wybrałeś się do nas?

— Na wieki wieków, amen — odparł Pietrek za Janka.



— Co ci to? Sam jesteś?..

— O, to dobrze! Złota Rączka potrzebuje właśnie chłopca do pomocy, ucieszy się więc bardzo, że pozostaniesz. Będzie nas troje, a w troje weselej niż we dwoje. Piotruś prędko cię nauczy, jak należy sprzedawać świętych i inne figurki.

Mówiąc to, Graziella kręciła się z kąta w kąt po olbrzymiej izbie, prawie pustej, bo całe jej umeblowanie stanowił tapczan z siennikiem i brudną pościelą, oraz kilka krzeseł i stół sosnowy.

— Tutaj — szczebiotała Rózia — sypiają: Czupiradło i Złota Rączka. Ja mam malutką komóreczkę na strychu, obok stancyjki Pietrusia. Przepierzenie z cienkich desek; można przez nie, jak przez grzebień rozmawiać. Każde słowo słychać. Jak się osiedlisz na facyatce, to nieraz zabawimy się razem... i pośmiejemy się i poweselimy!

Przykryła stół starym dziennikiem i położyła na nim trochę wędlin i chleba. Oczy dziewczynki błyszczały radością.

Jedząc i gawędząc ochoczo, jak starzy znajomi, nie spostrzegli, że czas upływa. Dopiero zegar, bijący w sąsiedztwie godzinę drugą, a za drzwiami odgłos ciężkich kroków, zasępił wesołe twarzyczki i przypomniał smutną rzeczywistość. Graziella i Piotruś drgnęli.

— To Złota Rączka i Czupiradło — szepnęli razem.

Drzwi popchnięte silnem uderzeniem pięści, rozwarły się na oścież. Ukazali się w nich mężczyzna i kobieta niosący puste kobiałki. Mężczyzna liczył około lat pięćdziesięciu. Twarz jego jakby posiekana mnóstwem blizn białych i czerwonych, wywoływała wprost wstrętne i groźne wrażenie. Jaś, nigdy jeszcze w życiu nie widział tak ohydnej fizyonomii, to też na jej widok zatrząsł się całem ciałem.

— Zkąd się tu wziął ten pędrak? — spytała Złota Rączka, przyglądając się obcemu chłopcu z ciekawością... Zkąd go wyrwaliście u licha? Ooooo, domyślam się, to pewnie Marco Spada go tu przyprowadził, nie pomnąc, że mikrusowi trzeba dać żreć; że to jeden brzuch więcej do napchania. Ale, co to obchodzi Piotrusia, dziecko lube! — zaśmiała się ironicznie — że w budzie swoi zdychają nieraz z głodu, że ja i Czupiradło musim od rana do wieczora ciężko się narobić, żebyście wy papu dostali. O nic nie dba, byle tylko hulał i próżnował!

— O, próżnował.

— Tak, próżnował. Gdy rodzic twój i ja sprzedawaliśmy pomarańcze w „bawaryi“, ty wałęsałeś się gdzieś pod miastem i bąki zbijałeś. Winszuję, winszuję! Tym bąkiem, którego utrafiłeś, to pewno to grubogłowe cielę...

— Może źle zrobiłem? co? hę? Czyście mi nieraz w uszy nie kładli, że potrzebujecie jeszcze jednego chłopaka do sprzedawania figurek, które kupujecie, czy też bierzecie na kredyt od Bombaliniego.

— Ale szukać go ci nie kazałam. Jesteś taki sam garus, jak twoja siostra, której się widzi, że mamy obowiązek ją żywić, chociaż nic nie robi...

— Jakto nic nie robię? czy nie pracuję, gdy mi jaką pracę zadacie? — odparło dziewczę nieco drżącym głosem.

— Tegoby tylko jeszcze brakowało!... Gdy kto ma takiego, jak ty buziaka, powinien go ludziom pokazywać! Oczu i włosów, jak twoje, nie ukrywa się w budzie, lecz wystawia się na widok publiczny, jak mawiał mój dyrektor, gdy byłam statystką i garderobianą w jego teatrze. Zamiast zaszywać się niby mysz w ciemnej norze, powinnabyś latać po Nowym Świecie i Krakowskiem przedmieściu, sprzedawać panom bukieciki, kwiatki...

Czarne oczy Piotrusia zamigotały ognistymi płomykami. Przysunął się do Grazielli, jakby ją chciał przed babą zasłonić.

— Widzisz go! — zawołał Czupiradło. — Mikrus dęba staje. Chciałby się pojedynkować o swoją siostrzyczkę. O, ci dwoje, to się trzymają za ręce, jak cygany na jarmarku! Zobaczysz, że za długoletnie utrzymanie i kupę grosza, cośmy na nich wydali, odwdzięczą się w taki sposób, że niby węgorze z rąk nam się wyślizną.

— Milczałbyś lepiej! -- fuknęła Złota Rączka i zwracając się do Rózi rzekła słodko: — Graziella nie zapomni nigdy, com dla niej uczyniła: nie porzuci matki za żadne skarby świata! Ona mnie kocha, bo wie, że i ja ją kocham bardzo.

Dziewcze, rozbrojone nagłą zmianą tonu, spojrzało na kobietę życzliwie.

— Do stu tysięcy fur beczek batalionów dyabłów! — ciągnęła Złota Rączka — jak mawiał dyrektor, gdy kasa była pusta. Czy to nie ja zrobiłam cię, córuniu, taką, jaką jesteś? Czy nie przezwałam cię Graziella dlatego, żeby ludziska wiedzieli z kim mają do czynienia?

— Oj, zdaje mi się, że to Bombalini ją tak przezwał — mruknął Pietrek, uśmiechając się szyderczo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Autonomia lwowska: Michał Michalski, I. wiceprezydent miasta Lwowa.

Upadek z mostu w rzekę.

(Do illustracyi tytułowej.)

Rzecz dziwna! Ostatnie wypadki w naszym kraju, które z obowiązku notujemy, a które skończyły się mniej, lub więcej krwawo, ścieląc za sobą albo żałobne całuny, albo przysparzając pracy chirurgom, noszą na sobie jedną cechę wspólną im, a wielce charakterystyczną. Oto powodem ich jest albo niedozór, albo też źle zrozumiana oszczędność, a ofiarami ludzie, co chyba dość płacą, jako obywatele podatków, aby wymagać dla siebie zabezpieczenia od takich wprost dających się przewidzieć katastrof!...

Po Chrzanowie przyszła kolej na Oświęcim. Od dworca kolejowego do miasta prowadzi gościniec rządowy, przez który na Sole, rzece górskiej, głębokiej i rwącej, rzucono most... drewniany, o konstrukcyi mniej więcej takiej, o jakiej zachodnia Europa dawno już zapomniała, a jaką podziwiać można jeszcze na małych rzeczułkach i strumykach galicyjskich, zostających pod czułą opieką naszej autonomii.

I miasto i kolej domagały się niejednokrotnie usunięcia tego średniowiecznego zabytku i zastąpienia go produkcyą najnowszej sztuki inżynierskiej. Byli nawet ofiarni, którzy chcieli ponieść część kosztów budowy nowego mostu o żelaznej konstrukcyi. Niestety! Wszystkie te pobożne życzenia i ofiary pozostały głosem wołającego na puszczy, gdyż rząd, właściciel i konserwator mostu nie tylko nie dał się skłonić do wzniesienia nowożytnego mostu, ale nawet z dziwną apatyą spoglądał na starą ruderę, po której kroczyły dziennie setki ludzi, koni i furmanek.

Drewniany most gnił, butwiał, rozsypywał się w swych wiązaniach, aż ostatecznie nastąpiła katastrofa, którą przewidywano od dawna.

Zeszłego poniedziałku wieczorem koło godziny dziewiątej zdążała od kolei ku miastu dorożka z czterema osobami, wśród których znajdował się p. Schubenbek, kasyer pocztowy, powracający po ukończeniu służby codziennej do domu. Gdy dorożka wjechała na ów osławiony most, niewiadomo dlaczego spłoszył się koń, zaprzągnięty do niej i mimo wysiłków woźnicy, skoczył tak nieszczęśliwie, że uderzył piersią w przegniłą poręcz mostową. Poręcz z trzaskiem zwaliła się w rzekę; koń przerażony tem jeszcze więcej, szarpnął powozem naprzód, a straciwszy równowagę pociągnął za sobą dorożkę wraz z pasażerami i runął w nurty Soły. Jeden tylko z pasażerów miał tyle przytomności, że w ostatniej chwili zdołał jeszcze wyskoczyć na most.

Trzej inni, między nimi kasyer Schubenbek, a oprócz tego woźnica, opisali w powietrzu straszną elipsę i stoczyli się w przepaść, ponosząc na krze mniej lub więcej ciężkie obrażenia. Krzyk nieszczęśliwych ofiar tego wypadku zwabił okolicznych mieszkańców. Pospieszono z pomocą tonącym i zdołano wyratować zarówno rannych ludzi jak i konia.

Katastrofa, której skutki mogły być straszne i kosztować cztery życia ludzkie, cudem prawie ograniczyła się do *mininum* i może wreszcie spowoduje rząd do przebudowy mostu, który łącząc najwięcej uczęszczaną drogę, powinien odznaczać się trwałością i bezpieczeństwem, a nie być postrachem wszystkich mieszkańców Oświęcimia, zmuszonych dzień w dzień kilkakrotnie narażać się na takie niebezpieczeństwo, jakiego ofiarą był pan Schubenbek i jego towarzysze. Ilustracya nasza przedstawia właśnie tę chwilę gdy spłoszony koń wraz z dorożką i siedzącymi w niej pasażerami wpada w nurty Soły.

Autonomia lwowska.

Prezydent miasta Lwowa dr. Godzimir Małachowski, wybrany posłem do Rady państwa przez lwowską Izbę przemysłowo-handlową, wniósł do prezydyum miasta rezygnacyę z swej prezydenckiej godności.

Rada gminna rezygnacyi tej nie przyjęła i zamieniła ją w trwały urlop bez poborów, aż do czasu nowych wyborów reprezentacyi miejskiej, które odbędą się z początkiem przyszłego roku i w ten sposób ster rządów autonomicznych dostał się w ręce wiceprezydentów lwowskich Michała Michalskiego i Ciuchcińskiego.

Przypatrzmy się bliżej tym sternikom autonomicznej nawy w stolicy galicyjskiej. Obaj oni wyszli z szeregów rzemieślniczego mieszczaństwa, które we Lwowie ma swą historyę od wieków, ma swe tradycye i dyrektywy w postępowaniu, w życiu domowem i politycznem, rodzaj przez przodków wskazanej i ubitej drogi, z jakiej zejść im nie wolno.



Autonomia lwowska: Ciuchciński, II. wiceprezydent miasta Lwowa.

Korniakty, Boimy, Grozwajery i Zimorowicze wskazali tę drogę mieszczaństwu lwowskiemu, przekazali mu w spadku miłość ojczyzny, zdolną do największych poświęceń, ofiarność względem współobywateli, mrówczą pracę i zapobiegliwość w każdym kierunku.

Tym bitym gościńcem, po którym zdąża całe mieszczaństwo lwowskie, szli przez całe swe życie obaj dzisiejsi naczelnicy grodu, Michalski i Ciuchciński.

Obaj stanowisko, jakie zajęli, zawdzięczają własnej pracy i ustawicznemu kształceniu się: Michalski, z zawodu kowal, znalazł zarówno czas na rozszerzenie swego warsztatu, który wkrótce przemienił we fabrykę powozów, znaną nie tylko w kraju, ale i za granicą, jak i na politykę, a Ciuchciński, majster blacharski, poszedł jego śladami, a raczej razem z nim ręka w rękę.

W młodym wieku obaj wolny czas od codziennych zajęć poświęcali na usługi „Skały", stowarzyszenia katolickiej młodzieży rękodzielniczej, gdzie wyrobili się politycznie i zasłynęli jako mówcy, działający na słuchaczy nie retoryką i zręcznie obmyślanemi sofizmatami, ale chłopską logiką prostą, zdrową, okraszoną swojskim humorem i jowialnością, która najlepiej przemawia do duszy.

I obaj mniej więcej po roku 1880 weszli w skład Rady miasta i tam zyskali sobie poważanie, jako dowódcy stronnictwa mieszczańskiego, grupującego się pod sztandarem złotego kura strzelnicy, która im, a względnie w pierwszej linii Michalskiemu zawdzięcza, że zatrzymała polski charakter, choć zakusy lwowskich Niemców do zawładnięcia tą instytucyą były jawne.

Michalski, po ustąpieniu p. Schayera, ozdobił swą pierś łańcuchem pierwszego wiceprezydenta miasta i został posłem na Sejm. Ciuchciński nieco później i to niemal zmuszony przez swe stronnictwo, przyjął na barki ciężar obowiązku drugiego wiceprezydenta. Na stanowisku tem obaj energią i trafnym sądem oraz bezstronnością zyskali sobie taki mir we Lwowie, że dziś Michalski — jak się mówi po lwowsku — na pewniaka zajmie stanowisko dra Małachowskiego, chociaż wymawia się od tego zaszczytu, a Ciuchciński zdobędzie złoty łańcuch pierwszego wiceprezydenta stolicy.



Straszne samobójstwo: Zwłoki Ant. Transila, który zginął śmiercią samobójczą pod kołami pociągu za stacyą „Żółkiew".

Straszne samobójstwo.

Zrozumieć można jeszcze tych samobójców, którzy pragnąc raz wreszcie zakończyć duchowe męki i przerwać gnębiącą ich umysł lub serce rozterkę, czy to jednym celnym wystrzałem, czy też szybko, a bezboleśnie działającą trucizną, otwierają sobie wrota do pośmiertnego życia. Lecz jak strasznem, jak wprost nieludzkiem, rzec można barbarzyńskiem znęcaniem się nad sobą samym jest samobójstwo, połączone z najokropniejszemi mękami fizycznemi! Jak szalonem musi być to pragnienie śmierci, które



Czy jedna, czy też dwie? Róża i Józefa Blażkówny bliźniaczki zrośnięte w biodrach.

pozwala człowiekowi z zimną krwią, spokojnie czekać na ostatnią chwilę, chociaż wie, że zgonowi jego towarzyszyć będą niewypowiedziane cierpienia!...

Co się dzieje w duszy takiego człowieka, żadne pióro opisać nie jest w stanie!...

Jedna z takich potwornych, do głębi serca wstrząsających tragedyi rozegrała się w nocy z 6 na 7 grudnia w Żółkwi.

Do Rawy ruskiej całym pędem pary zdążał pociąg. Maszynista, prowadzący lokomotywę, ledwie po słabych cieniach słupów telegraficznych oryentował się wśród ciemności nocnych, wzmożonych zadymką śnieżną. I nagle wśród rytmicznego kołysania się parowozu odczuł silne wstrząśnienie. Zdawało mu się nawet, że wśród poświstu wichury usłyszał cichy jęk boleści. Przerażony, czemprędzej zasygnalizował do Żółkwi o tem zdarzeniu.

Naczelnik stacyi w tej chwili zebrał ludzi uzbrojonych w nosze i latarnie i wraz z lekarzem udał się na plant kolejowy. O dwieście kroków od stacyi wśród kałuży krwi leżały bezwładne zwłoki młodego człowieka, a raczej bezkształtna, zdruzgotana masa ciała ludzkiego z wyrwanemi jelitami...

Stwierdzenie tożsamości denata nie przedstawiało żadnych trudności. Robotnicy kolejowi odrazu z ocalonej od zdruzgotania głowy poznali w zmarłym młodego montera żółkiewskiego młyna Antoniego Transila, pochodzącego z Pyseli, objętej powiatem Królewskich Winogradów w Czechach.

Transil, który, choć niedawno przybył do Żółkwi, zdołał sobie wśród współtowarzyszy pracy i warstw robotniczych pozyskać gorącą miłość i szacunek, czego dowodem był jego pogrzeb i tłumy ludu, zdążające za trumną nieszczęśliwego, który bynajmniej nie padł ofiarą wypadku, lecz z rozmysłu odebrał sobie życie w tak straszny sposób, a powodem, który skłonił go do tego rozpaczliwego kroku, było, jak to można wywnioskować z pozostałych po nim listów, nieszczęśliwe pożycie małżeńskie.

Rycina nasza, wykonana według fotografii zdjętej nazajutrz po wypadku, przedstawia zwłoki nieszczęśliwego samobójcy, ułożone przy plancie kolejowym przed tem, nim komisya sądowo-lekarska wydała o całem zajściu swoje *parere.*

Hołd zasłużonej rodzinie.

Oddać hołd zasłudze, czy to jednostki, czy całej rodziny jest obowiązkiem społeczeństwa, które z tych zasług korzysta.

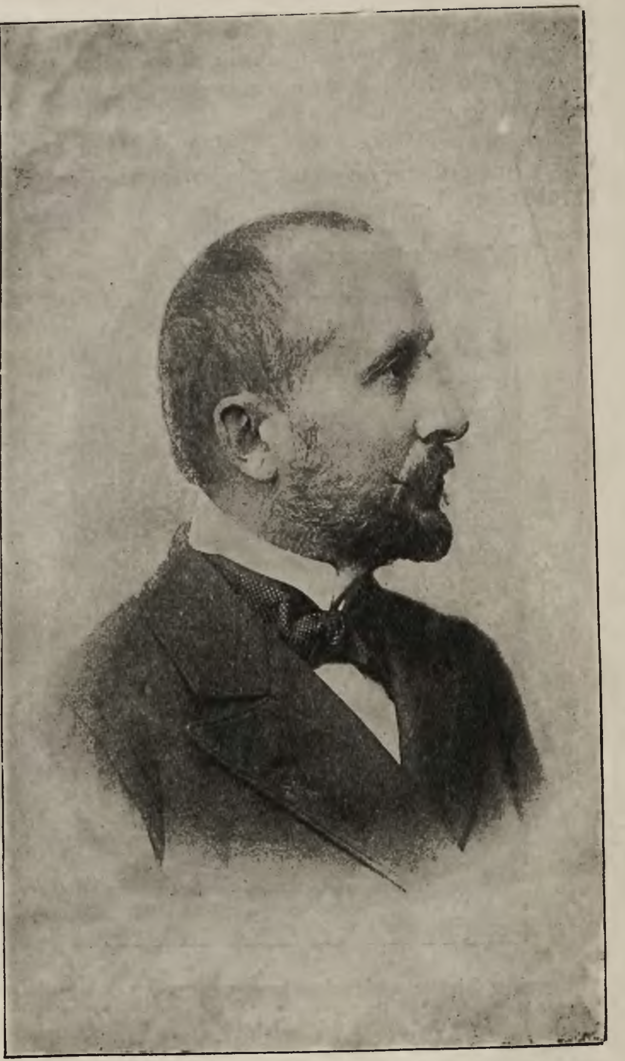
Obowiązek taki względem rodziny hrabiów Dunin-Borkowskich spełniła Rada miasta Lwowa, która na jednem z ostatnich swych posiedzeń powzięła uchwałę, by jednej z istniejących już ulic lub mających powstać w najbliższej przyszłości, dać nazwę ulicy „Dunin-Borkowskich“.

Rodzina Borkowskich w historyi miasta Lwowa zapisała się niezatartemi głoskami i po tysiąc razy zasłużyła sobie na wdzięczność mieszkańców przywiązaniem i ofiarnością, której nigdy nie szczędziła w stosunku do swej siedziby. Trudno wyliczać za porządkiem cały szereg zasług tej zacnej rodziny wobec Lwowa, wystarczy jednak, jeśli wspomnimy, że od chwili autonomicznych rządów zawsze jeden z jej członków zasiadał w radzieckiem krześle, a ostatni z rodu hrabia Jerzy Dunin-Borkowski i dziś piastuje tę godność, dowód zaufania ze strony współobywateli.

Przodek hrabiego Jerzego Stanisław Dunin-Borkowski, zmarły 1850, całą swą piękną, nader zasobną i wyborową bibliotekę ofiarował uniwersytetowi lwowskiemu; Leszek, zmarły w r. 1897, jako poseł na Sejm, delegowany przez stolicę kraju, niemało zasłużył się miastu, o którego interesy szermował bez żadnych osłonek. Inni członkowie tego zacnego rodu cichą pracą, skrytą ofiarnością, szczodrobliwą dłonią niejedną łzę otarli lwowskiej biedzie, niejedną instytucyę w krytycznej chwili ratowali od upadku.

Ostatni, hrabia Jerzy, na którym ród Borkowskich wygasa, autor sławnej heraldyki i genealogii rodów polskich, członek komisyi dla zabytków historycznych w Galicyi i Rady nadzorczej Muzeum przemysłowego we Lwowie, oprócz zasług na polu sztuki i literatury, prócz skrzętnej pracy nad rozwojem lwowskiego Muzeum przemysłowego, wzniósł przy drodze Wuleckiej skromną kapliczkę, poświęconą pamięci poległych w boju o wolność w roku 1863, przy której młodzież rzemieślnicza i akademicka święci smutne dnie narodowej żałoby.

Nie dziw więc, że tak zasłużonej rodzinie Lwów złożył hołd, jaki się jej słusznie należał.



Hołd zasłużonej rodzinie: Jerzy hr. Dunin-Borkowski.

Czy jedna, czy też dwie?

Wśród rozmaitych zawiłych kwestyi prawniczych zrodziła się nader ciekawa, chociaż na pozór niby śmieszna, którą roztrząsać będą sądy londyńskie. Kwestya cała ogranicza się do pytania, czy zrośnięte w jedną całość bliźnięta należy uważać za jedną istotę, czy też za dwie?

Ciekawa rzecz, jak prawnicy angielscy odpowiadają na to pytanie. Ze względów bowiem psychologicznych zrośnięte bliźnięta należy uważać za normalny wprawdzie, ale jednolity organizm, korzystający z jednego wspólnego systemu krwionośnego, choć posiadający dwa zbiorniki, dwie fabryki wytwórcze tej życiodajnej substancyi którą znamy pod nazwą krwi — dwa serca. Ze względów jurydycznych za zbrodnię wykonaną przez jedno ze zrośniętych bliźniąt musi odpowiadać drugie pod zarzutem cichego współudziału, przez nie przeszkodzenie w spełnieniu karygodnego czynu... Wobec podwójnej tej odpowiedzialności wnioskować trzeba, że bliźnięta są dwoma odrębnemi istotami. Oba te poglądy co do jednolitości fizyologicznej i dwoistości umysłowej zrośniętych w jedną całość bliźniąt mają swoje racye, są poniekąd usprawiedliwione, ale nie zapadł jeszcze wyrok, który by raz unormował tę kwestyę. Dopiero Anglia zabierze stanowczy głos w tej kwestyi i to ze względów finansowych mianowicie, rozstrzygając kwestyę sporną między „syamskiemi siostrami“ Czeszkami, Różą i Józefą Blażkównemi, a koleją angielską o to, czy zrośnięte siostry uprawnione są do używania jednego biletu jazdy, czy też muszą opłacać koszt swego przewozu tak, jakby fizyczna ich jedność nie miała wcale miejsca.

W Niemczech Blażkówny używały z musu dwóch kart jazdy. Pozwalając się, jako dziwoląg natury, oglądać w Belgii jeździły zawsze za jednym tylko biletem i urzędnicy kolejowi nie mieli nic przeciwko temu. Przybywszy obecnie do stolicy mglistego Albionu mądre Czeszki postanowiły korzystać z belgijskich prerogatyw, co angielskim kolejarzom i „tramwaistom“ nie przypadło do smaku.

Spór zaś zaostrzył się do tego stopnia, iż Czeszki zwróciły się do sądu z prośbą o wyrok w tej sprawie.

Powódki, Róża i Józefa Blażkówne urodziły się w Czechach i obecnie liczą dwadzieścia trzy lat. Obie zrośnięte są w biodrach tak, że bez żadnej trudności mogą chodzić z sobą po pod rękę. Charakterystycznem jest to, że twarze ich nie są wcale do siebie podobne, podczas gdy charaktery ich zgadzają się znakomicie. Interes, jaki robią pokazując się za opłatą chciwej senzacyi publi-



Fot. Münz. Lwów.

Policya konna we Lwowie: Plutonowy lwowskiej policyi konnej w służbie.

cności, idzie im bardzo dobrze, bo już po kilku latach produkcyi były w stanie nabyć dla swych rodziców bardzo ładny mająteczek ziemski w rodzinnym kraju.

Nie wesołe jednak musi być życie tych dwóch sióstr, przykutych do siebie nawzajem i kalectwem zarobkujących.



Miejskie biuro pośrednictwa pracy we Lwowie: Dyrektor biura Edmund Kolbuszowski.

Policya konna we Lwowie.

Do różnych cech „europejskości“, w które Lwów tak chętnie się stroi, należy niedawno, bo przed paru laty zaledwie zorganizowana policya konna.

Lwów poszedł w tym kierunku śladami Wiednia, Budapesztu, Gracu i innych większych miast austryackiej korony, które potrzebę tego rodzaju policyi uznały za niezbędną i na jej barki włożyły w pierwszym rzędzie obowiązek dbania o porządek ruchu kołowego.

Na dobrze utrzymanych koniach, dostarczonych przez wojsko, snują się po najbardziej ożywionych ulicach Lwowa wysłużeni kawalerzyści, strojni w mundury policyjne i pilnują porządku zwłasza podczas targowych dni wśród wiejskich furmanek, przewijających się po mieście, a robiących najwięcej zgiełku i zamieszania w ruchu ulicznym.

Lwów ma już swoją policyę konną — Kraków niema jej jeszcze i dotychczas, chociaż niby o niej myśli i mówi, nie można się cieszyć nadzieją rychłego ziszczenia tego projektu, który dla naszego miasta ma wielkie znaczenie. Wobec bardzo szczupłej liczby policyi pieszej, przeciążonej rozmaitemi służbami w gmachach policyi, na zgromadzeniach politycznych, patrolami i tym podobnie, konna policya pilnująca porządku ulicznego przydałaby się bardzo i bezpieczeństwo mieszkańców zyskałoby na tem wiele.

Z zaprowadzeniem jednak takiej policyi połączone są znaczne wydatki na które przeciążona długami gmina krakowska nie może się zdecydować....

Korpus weteranów wojskowych w Stryju.

Weterani wojskowi, łączący się w związki, które zarówno mają być ogniskiem towarzyskich stosunków, jak i instytucyą wspierającą tak członków swych niezdolnych do pracy, jak wdowy i sieroty po nich pozostałe, zdobyli sobie nowy posterunek w Stryju. Założyciel i przewodniczący stryjskiego korpusu, budowniczy i inżynier tameczny p. Józef Turek, rzuciwszy myśl stworzenia nowego gniazda dla weteranów wojskowych, w krótkim czasie zdołał dla swych idei pozyskać liczne grono zwolenników, tak, że dziś weterani stryjscy są bardzo poważnym związkiem, zwłaszcza, że p. Turek nie ograniczył się jedynie do założenia tego stowarzyszenia, lecz zbudował korpusowi osobny gmach własny.

Przybyła Stryjowi w tym gmachu nowa ozdoba, a korpus weteranów teraz zapewne rozszerzy swój zakres działania i zdoła zgromadzić pod swym sztandarem liczniejsze, niż dotychczas szeregi, skutkiem czego dalszy wzrost i rozwój towarzystwa będzie na dłuższy czas zabezpieczony.

Miejskie biuro pośrednictwa pracy we Lwowie.

Dużo trzeba było czasu i wysiłków, nim wreszcie, działając prawie pod moralnym przymusem, uchwaliła Rada miasta Lwowa utworzenie, na wzór zagranicą istniejących, we własnym zarządzie biura pośrednictwa pracy. Domagało się tego społeczeństwo — nie tylko pracujący, lecz i pracodawcy — tak jedna, jak i druga strona była bowiem zdana na łaskę i niełaskę biur prywatnych, które niejednokrotnie wyzyskiwały sytuacyę — ściągając gruby haracz z interesowanych. Ostatecznie i za drogie pieniądze, pod postacią „wkładek“ zapłaconych, nie był ani robotnik pewnym, że pracę dostanie, ani pracodawca, że polecony mu robotnik jest uczciwym i zdolnym.

Zaradzić złemu miało utworzenie bezpłatnego biura pośrednictwa pracy, biura, któreby nie po-



Fot. Löwenthal. Stryj.

Korpus weteranów wojskowych: Założyciel i przewodn. stryjskiego korpusu weteranów budowniczy Józef Turek.



Znowu katastrofa kolejowa: Miejsce wypadku bezpośrednio po katastrofie.



Znowu katastrofa kolejowa: Przybycie pociągu ratunkowego z parowemi dźwigniami („heberami“).

trzebowało oglądać się na jakiś niepewny dochód. W roku 1899 utworzono przy Magistracie lwowskim takie biuro, pierwsze wogóle w Galicyi. Że było ono potrzebnem, dowodzi rozwój ciągły tej instytucyi, a nadto fakt, że śladem stolicy i miasta prowincyonalne potworzyły u siebie takie biura. Dziś Galicya liczy ich sporą ilość. A przed niedawnym czasem nawet Sejm zajął się tą sprawą i uchwalił utworzenie przy wydziale krajowym krajowego biura pośrednictwa pracy, któreby objęło kontrolę nad istniejącemi i powstającemi biurami.

Zbawienna działalność takiej instytucyi daje się już uczuwać, zniknął bowiem ów niemoralny wyzysk, na który biedny robotnik był skazanym ze strony przedsiębiorcy prywatnego, około 10.000 pracujących zgłasza się rok rocznie w biurze pracy, gdzie, o ile możności, kierownictwo stara się każdemu zgłaszającemu się dać sposobność uczciwego zarobkowania. Jak pożytecznem jest to biuro, dowodzi i ten fakt, że z roku na rok wysyła ono wielką ilość robotników do Prus, Rosyi i dalej, w porze, gdy w kraju o zarobek ciężko.

Miejskie biuro pracy we Lwowie ma dwa główne działy: oddział męski i żeński. W oddziale męskim przeważa liczba zgłoszeń pracujących, w żeńskim pracodawców. Przyczyny tego szukać należy w pewnej nieufności, z jaką jeszcze do tej młodej instytucyi odnoszą się pracodawcy.

Lecz powoli i to zanika, głównie zaś, dzięki umiejętnemu kierownictwu p. Edmunda Kolbuszowskiego, dyrektora biura, który nie szczędzi ni pracy, ni zabiegów, by postawić tę instytucyę na stopie równorzędnej z podobnymi zakładami zagranicznymi.

Znowu katastrofa kolejowa.

Sezon wypadków kolejowych jest w pełnym rozwoju. Pismo nasze miało już kilkakrotnie sposobność przedstawić czytelnikowi w słowie i rysunku smutne wydarzenia kolejowe ostatnich czasów. Do niewesołej tej kroniki przychodzi nam zapisać świeżo zaszły wypadek na państwowej odnodze kolei przechodzącej przez Przeworsk. Pożałowania godny fakt przedstawia się w następujący sposób:

Osobowy pociąg, którym jechało 38 pasażerów. nie licząc w to służby maszynowej i konduktorów — mijał właśnie stacyę Gorliczynę, zdążając do Przeworska. Było to późna pora wieczorna, czas pochmurny i dżysty i temu też przypisać prawdopodobnie należy, że prowadzący pociąg maszynista nie dostrzegł robotniczego wózka, t. zw. „dresyny“, która pomykała przed nim. Grożące z tyłu niebezpieczeństwo dostrzegli jednak jadący dresyną robotnicy i powyskakiwali z pędzącego wózka. Ryzykowny skok udał się szczęśliwie. Dzielni ludzie nie poprzestali na ocaleniu własnego życia, wiedzieli bowiem, że za dresyną pędzi pociąg i że w chwili najechania na nią — życie jadących jest zagrożone. Usiłowali przeto wózek zdjąć z szyn i zrzucić go z toru, by w ten sposób usunąć zaporę grożącą pociągowi. Niestety! nie powiodło się — maszyna uderzyła całą siłą w dresynę i skutkiem tego wykoleiła się wraz z tenderem. Po zatrzymaniu pociągu skonstatowano, że prócz lokomotywy wykoleiły się również: wóz służbowy i pocztowy i dwa wozy osobowe. Z 37 pasażerów pięciu doznało uszkodzeń. Z personalu kolejowego wyszli z nieznacznymi również obrażeniami palacz i konduktor pociągu. Ruch uległ zaledwie kilkugodzinnej przerwie, poczem tor uprzątnięto — i pociągi normalnie już krążą po linii.



Znowu katastrofa kolejowa: Dźwignie parowe („hebery“) przy pracy ratunkowej.

Miejska straż ogniowa w Podgórzu.

Podgórze dawno już poszło śladem większych miast galicyjskich i obok ochotniczej straży ogniowej, która jest próbą samoobrony wobec tak strasznego żywiołu, jakim jest ogień, powołało do życia miejską, płatną, a więc zawodową straż pożarną. Nie są to jeszcze zastępy, które mogłyby zaimponować liczbą! Straż miejska ogniowa w Podgórzu jest szczupłą ilościowo, ale zato znakomicie wyćwiczona i zaopatrzona we wszystkie przyrządy do gaszenia pożarów, stosownie do najnowszych wymogów i wynalazków.

W koszarach miejskiej straży ogniowej w Podgórzu, mieszczących się przy ulicy Mickiewicza, wznosi się wysoka drewniana spinalnia, na której strażacy dzień w dzień odbywają swe ćwiczenia. W stajniach od niedawna dopiero stoi kilka par koni, częścią będących własnością straży, albo też wziętych od wojskowości — jak to mówią — na wychowanie. W wozowniach strażnicy znajdują się trzy sikawki najnowszego typu, kilka beczkowozów, „czterokołowa drabina mechaniczna, jedna tak zwana „kominiarka“ i wóz z aparatami do gaszenia ogni piwnicznych.

Oprócz tego zarząd miasta wciąż zaopatruje straż w coraz to nowe przyrządy. Niedawno dopiero miasto zakupiło płachty ratunkowe, z którymi strażacy odbyli zaraz próby z nader pomyślnym wynikiem. Robiono także na strażnicy doświadczenia z aparatem „Minimax“, które dały bardzo dobre rezultaty.

Ten rozwój straży podgórskiej jest głównie zasługą pensyonowanego brandmistrza krakowskiej straży miejskiej, p. Jana Illga, który, zamieszkawszy na Podgórzu, wspiera swą radą tę młodą, a tak potrzebną instytucyę i opierając się na swem długoletniem doświadczeniu, zwraca uwagę reprezentantów gminy na potrzeby straży.

Skrucha na łożu śmierci.

Życie człowieka — to jedno pasmo zawodów i udręczeń, zwątpień i walk, a szczęśliwy zaiste ten, który z ciernistego tego labiryntu natrafi wreszcie na właściwą i niezawodzącą nigdy ścieżkę: Wiary i miłości.

Dusze wielkie i niepodległe, miłujące ogół i umiejące poświęcać się dla niego — umieją też podporządkować własne szczęście i spokój dla szczęścia i przyszłości drugich.



Skrucha na łożu śmierci: Ś. p. Witold Reger wybitny działacz socyalistyczny.

Wielcy reformatorzy i przewodnicy duchowi ludzkości, stwierdzili życiem i śmiercią tą prawdę, a następcy ich i uczniowie szli w ślady swych mistrzów. Każdy upatruje w czem innem szczęście i przyszłość ludzkości, a chociaż tezy ich mogą być błędne — potępiać tych ludzi nie można, dopóki z silną wiarą i przekonaniem idą do wytkniętego celu.

O ileż jednak piękniejszym, o ileż więcej rozrzewniającym faktem jest, gdy ktoś, który życie swe strawił i siły swe stargał na walce przeciw uznanym Religijnym Ideałom ludzkości — w ostatniej chwili, na łożu śmiertelnem poznaje i uznaje błędy swego życia — i w chrześciańskiej przykładnej pokorze godzi się z Bogiem, przyjmuje Ostatnie Sakramenta i umiera spokojny i nawrócony!

Tak umarł w Przemyślu dzielny i niestrudzony bojownik sprawy socyalnej ś. p. Witold Reger, który w ostatniej chwili — jakby w jasnowidzeniu jakiem — ujrzał całą bezowocność krwawych zabiegów swego życia i przyszedł do przekonania, że jedyne źródło zbawienia ludzkości — leży jedynie i li tylko w wzniosłych dogmatach i przepisach św. Kościoła Katolickiego. Czy fakt pogodzenia się z Wiarą św. i z Bogiem — może ktoś uważać jako tchórzostwo, jako dezercyę ś. p. Witolda z pod znaków socyalnej demokracyi?... Nie! Ostatni był to bohaterski akt bohaterskiego jego życia; największem bowiem bohaterstwem jest uznanie własnych błędów. Tak postąpił ś. p. Reger i ustnie i na piśmie odwołał wszystko, w czemkolwiek występował, czemkolwiek kiedy obraził i znieważył Odwieczne Świętości ludzkości.

Dla Kościoła Katolickiego tryumf to nie mały — nie pierwszy i nie ostatni z pewnością. Dla towarzyszów i partyi zmarłego poważne, surowe napomnienie z za świata...

Nie w burzeniu i wywracaniu ołtarzy ludzkości — lecz w umacnianiu ich — nasza przyszłość i szczęście!...

Cześć pamięci nawróconego!...

Zasypani śniegiem.

Śnieżyce i zaspy śnieżne, które w wielkich miastach — są niejako „urozmaiceniem“ sezonu zimowego — stają się żywiołową klęską w górach, demoniczną orgią rozpętanych sił przyrody — niszczących wszystko, co na drodze swej spotkają.

Wichry i burze zasypują drobnym zmarzniętym pyłem śnieżnym drogi i ścieżki górskie, zacierając zupełne ślady komunikacyi na niedostępne wyżyny, owe ostatnie podniebne placówki człowieka. Lawiny, spadające olbrzymiemi masami śnieżnemi w doliny, przygniatają osady i wsie biednych górali, narażając na gwałtowną śmierć lub powolną niechybną — śmierć głodową mieszkańców chat i szałasów.

Na niemniejsze niebezpieczeństwo narażone są wielkie szlaki komunikacyi: górskie gościńce i żelazne koleje. Zdarza się często, że spadająca nagle lawina lub całe bloki skalne druzgocą pociąg w biegu, częściej jeszcze bywa, że pociąg utknie w śniegu, a zanim z najbliższych stacyi nadejdzie pomoc i ludzie przeznaczeni do odgrzebywania — kilka a nieraz i kilkanaście godzin zmuszeni są pasażerowie spędzić zakopani formalnie w śniegu.



Fot. Kryjak. Kraków.

Miejska straż ogniowa w Podgórzu: Podgórska straż miejska odbywa ćwiczenia z płachtami ratunkowemi na wspinalni w swych koszarach.

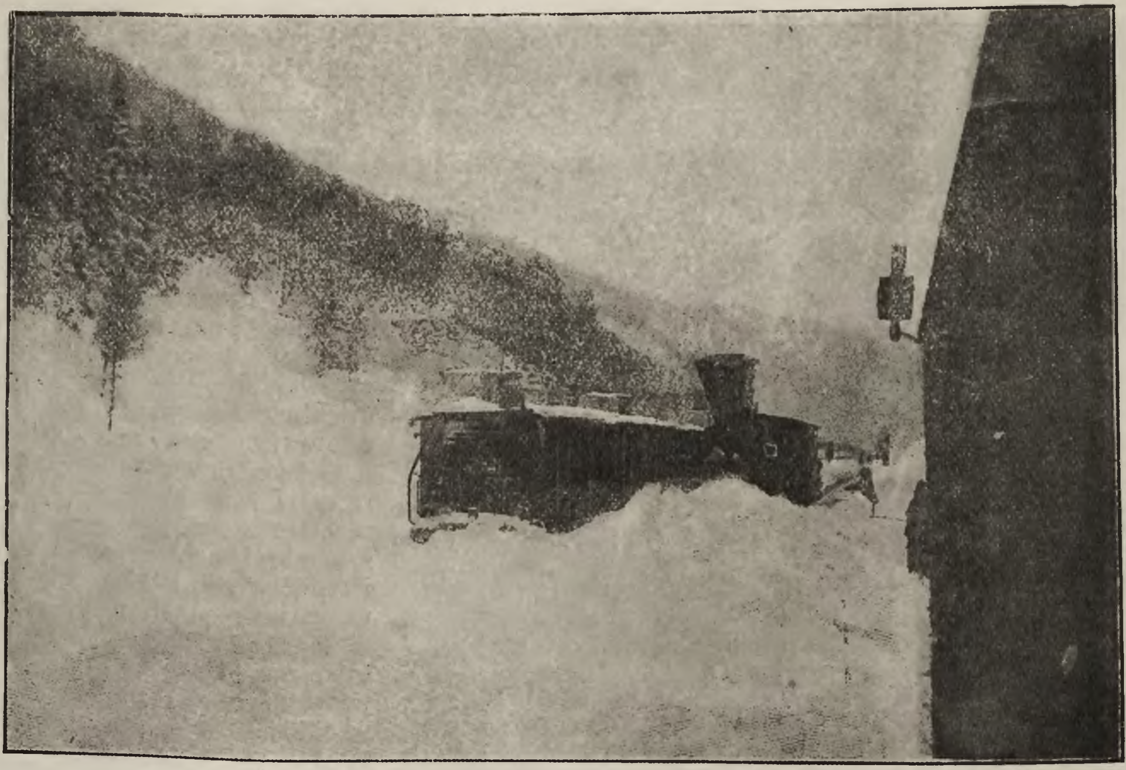
Podobny wypadek zdarzył się niedawno u wylotu słynnego tunelu Brenner w Alpach tyrolskich. Tor kolei żelaznej, przebity przez łono tego olbrzyma, łączy miasta Bozen i Insbruk.

Jest to najwięcej malownicza „partya" dla turystów alpejskich. W lecie zachwyca oko niezrównaną malowniczością i czarem pierwotnej górskiej natury — w zimie przejmuje grozą dzikość nagich skał i szczytów obleczonych w całej wysokości białym całunem śniegu.

Katastrofa, którą szereg naszych rycin przedstawia — ograniczyła się na szczęście na przestrachu i zziąbnięciu podróżnych i kilkugodzinnej wytężonej pracy robotników nad uwolnieniem pociągu ze śniegu.

Przy wylocie tunelu utknął pociąg na zaspę, lokomotywa zaś zaryła się tak silnie w zaporę, że ani naprzód ruszyć nie mogła, ani nie była w możności cofnąć pociągu do stacyi. Tymczasem jak na dobitkę zaczął śnieg padać i zwolna pokrywał coraz to grubszym białym całunem tak pociąg jak i pasażerów w nim się znajdujących. W kilka godzin cały ten wał zaczął obmarzać, a lód przylegający szczelnie do drzwi i okien wagonów zamknął niby na najsilniejsze spusty — nieszczęśliwych pasażerów.

Rycina pierwsza przedstawia obmarznięty w śniegu pociąg. Rycina druga daje nam wyobrażenie o przyjemnej sytuacyi pasażerów uwolnionych wreszcie z lodowego więzienia, a trzecia pracę robotników nad oczyszczeniem zasypanego toru.



Zasypani śniegiem: Pociąg ugrząźnięty w śniegu.



Zasypani śniegiem: Praca nad oczyszczeniem ze śniegu toru kolejowego.

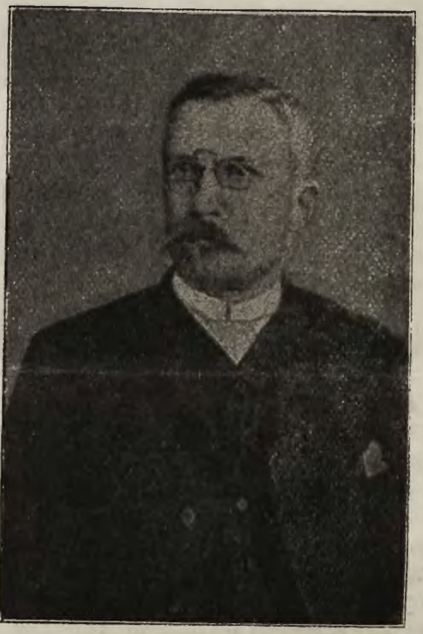
Nagła śmierć posła.

Jak żołnierz, dał swe życie na posterunku wybitny parlamentarzysta niemiecki stronnictwa liberalnego, dr. Zdenko Schücker. Spełniając swój obowiązek jako poseł do Rady państwa, w chwili, kiedy w porywającej mowie wygłaszał przed forum obywateli swe poglądy, gdy z podniesioną przyłbicą stanął do walki z przeciwnikami swych idei, padł ofiarą śmierci, która ujęła go w swój chłodny uścisk nagle, najniespodziewaniej — padł jak rycerz na polu walki.

Śmierć zaskoczyła dra Schückera w kuloarach olbrzymiej sali wiedeńskiego stowarzyszenia kupców i młodzieży handlowej, podczas politycznego zebrania, które miało być protestem przeciw uchwale sejmu dolno-austryackiego w sprawie reformy szkół pod względem wyznaniowym. Przewodnictwo objął profesor uniwersytetu dr. Joell, jako mówcy występowali zaś posłowie Noske, dr. Vogler, profesor Bendel i dr. Schücker. W powietrzu czuć było burzę: wszyscy mowcy w jak najostrzejszych wyrazach potępiali dążność do rozłamu ludności przez stworzenie szkół wyznaniowych, wszyscy zgodnie napiętnowali uchwałę sejmu dolno-austryackiego, jako posiew niezgody i ostro protestowali przeciw tym zakusom.

Najostrzej występował dr. Schücker. Słowa jego padały jak lawiny, druzgocąc siłą dowodów przeciwne stronnictwo. Gromkie oklaski zebranych dowodziły, że mówca trafił do ich serc. Po ukończeniu przemowy dr. Schücker uczuł, że mu się robi słabo, że coś rwie się w jego organizmie. Opuścił duszną salę, zaczerpnął nieco świeżego powietrza i mimo osłabienia, chciał dalej brać udział w obradach. Niezdołał już jednak powrócić do sali. U wejścia do garderoby, pod kolumnadą zdobiącą salę, padł na podłogę i zanim zdołano pospieszyć mu z pomocą, zakończył życie na anewryzm serca.

Zmarły poseł liczył sześćdziesiąt jeden lat życia. Z zawodu adwokat, posiadał swą kancelaryę w Chebie, ale już w młodych latach poświęcił się polityce: zasiadał w sejmie czeskim, a następnie wszedł do parlamentu, gdzie jako wytrawny znawca stosunków państwowych i dobry mowca, był jednym z filarów partyi liberalnej jeszcze w tych czasach,



Nagła śmierć posła: Zdenko Schücker zmarły na anewryzm serca.



Zasypani śniegiem: Pasażerowie opuszczają pociąg zatrzymany w górach nawałnicą śnieżną.



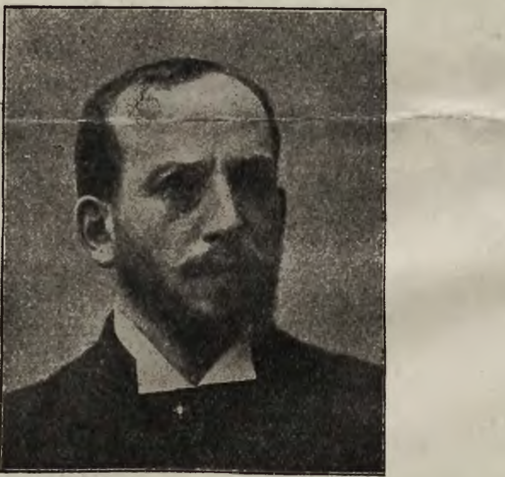
Koronowani kuzyni: Król angielski Edward I. i król portugalski Karol.

w których u steru rządów stał hrabia Kazimierz Badeni. Niemieckie stronnictwo liberalne straciło w drze Schückerze jednego z najlepszych swych szermierzy.

Śmierć Syvetona.

Przypominają sobie zapewne czytelnicy w jednym z ostatnich numerów naszych rycinę, przedstawiającą wyprowadzenie deputowanego paryskiego Syvetona z gmachu posiedzeń Izby deputowanych, z powodu spoliczkowania ministra wojny Andrego. Czynu tego krewkiego i brutalnego miał się Syveton dopuścić z oburzenia za to, że minister dopuszczał się podobno pomijania w awansie jedynie za same przekonania religijne, oraz że z tych samych pobudek sekował klerykalnych oficerów.

Jakiekolwiek były pobudki, to jednak sam ten brutalny fakt, dokonany w parlamencie, przejął wszystkich grozą oburzenia. Nie tylko wydalono go natychmiast z gmachu parlamentu, nie tylko wykluczono na trzydzieści posiedzeń, ale ogromną większością postanowiono oddać w ręce sprawiedliwości, za co czekały go przypuszczalnie dwa lata więzienia. Właśnie kończył się czas jego przymusowego wygnania z parlamentu, właśnie miał przybyć na posiedzenie, a nazajutrz stanąć przed sądem, gdy w tem rozeszła się wieść, że Syveton nie żyje. Rzucono się do telefonu, ale nikt nie odpowiadał.



Śmierć Syvetona: Gabryel Syveton zmarły dep. paryski.

Udano się do mieszkania, ale tam zastano już tylko trupa. Lekarz stwierdził zaczadzenie. Byłoby zresztą nie doszło do katastrofy, gdyby rura, odprowadzająca gaz z komina, była wolną.

Tak jednak nie było, gdyż w otworze znaleziono numer gazety „Intransigeant“.

Zachodzi pytanie, czyjem dziełem było to zatkanie rury: mordercy czy samobójcy. W każdym razie mamy przed sobą ofiarę tragicznego losu.

Zmarły pozostawił młodą żonę. Pogrzeb odbył się zupełnie cicho. Nad grobem przemawiał znany poeta francuski Coppée.

Gmach Kasy Oszczędn. w Stryju.

Miasto Stryj, tylekroć niszczone przez pożary, dźwignąwszy się powoli z gruzów po ostatniej katastrofie, w ostatnich latach, dzięki energicznym rządom swego burmistrza p. Aleksandra Stojałowskiego i jego wielkiej zapobiegliwości, zaczęło się szybko rozwijać i stroić w coraz to nowe gmachy publiczne.

Z szeregu budowli, które za rządów p. Stojałowskiego zostały wzniesione, w pierwszym rzędzie uwagę przybysza musi zwrócić nowy gmach, wystawiony specyalnie na pomieszczenie stryjskiej Kasy Oszczędności, instytucyi finansowej o szerokim zakresie działania, wspartej na pewnych podstawach.

Nowy gmach obszerny, choć niezbudowany wcale w tak modnym dzisiaj neorenesansowym stylu, zewnątrz przedstawia się bardzo przyzwoicie, a wewnątrz urządzony jest bardzo wygodnie, z zachowaniem wszystkich możliwych wymogów hygienicznych i urządzeń ochronnych na wypadek wybuchu ognia.

Wzniesienie tego gmachu należy istotnie poczytać za wielką zasługę p. Stojałowskiego i życzyć sobie należy, aby dalsze projektowane przez niego inwestycye jak najrychlej zostały zrealizowane ku ogólnemu dobru i wygodzie mieszkańców miasta Stryja.



Fot. Frey. Stryj.

Gmach Kasy Oszczędności w Stryju: Nowy budynek Kasy Oszczędn., wzniesiony staraniem burmistrza stryjskiego p. Aleksandra Stojałowskiego.



Koronowani kuzyni: Królowa ang. Aleksandra i królowa portug. Amelia.

Koronowani kuzynowie.

Dom Sasko Kobursko-Gotajski, którego pierwotnem gniazdem jest bardzo niepozorne małe księstewko Rzeszy niemieckiej — potrafił jednak związkami małżeńskiemi opanować potężnymi tronami Europy.

Król Leopold I. belgijski zasiadający od 1832 roku t. j. od niepodległości Belgii na tronie, obecny król angielski Edward, książę Ferdynand bułgarski i Karol I. król portugalski — wszystko to bliscy kuzyni, pochodzący ze wspólnego szczepu Koburgów sasko-gotajskich.

Kuzyni, pomimo wielkiej różnicy rządzonych przez siebie terytoryów, żyją ze sobą na poufałej familiarnej stopie i niema prawie roku, by wzajemnie się nie odwiedzali. Odwiedziny te nie mają zazwyczaj ani urzędowego ani politycznego znaczenia. Są one raczej aktem grzeczności i serdeczności. W odwiedzinach takich koronowanym kuzynom mile czas upływa. Zajmują się oni bankietami, polowaniami, lawn-tennisem i t. p. — z zupełnem wykluczeniem polityki.

Niedawno bawili królestwo portugalscy Karol i Amelia u swych angielskich kuzynów: króla angielskiego Edwarda i królowej Aleksandry.

Była to podróż „okrężna“ po rozrywkach na dworze londyńskim — pojechali królestwo portugalscy do Paryża, by odetchnąć nad Sekwaną po niewielkich zresztą trudach panowania.

Podajemy tu podobizny „wysoko położonych“ kuzynów: na pierwszym obrazku widzimy siedzącego w fotelu króla angiel-



Czworonożny liliput: Najmniejszy koń na świecie, wysoki na 65 cm. kucyk z rasy szkockich poney'ów.

skiego Edwarda, obok niego zaś stoi znacznie wiekiem młodszy król portugalski Karol. Druga grupa wyobraża w siedzącej pozycyi królową Aleksandrę i opartą o poręcz jej fotelu królową portugalską Amelię...

Nowi atleci tureccy.

Zgrzybiała, przeżyta, stara Turcya, kraj z wielką przeszłością, ale dziś bez żadnej przyszłości, posiada jednak, mimo całego zdegenerowania swego narodu, zdrowe i tak silne jednostki, że budzi podziw w całej Europie. Wśród zawodowych siłaczy, których zapasy, mimo, iż są w najwyższym stopniu denerwujące, posiadają jednak na całym kontynencie licznych zwolenników, a atleci tureccy zdobyli sobie sławę, zwłaszcza w zapasach *catch-as-cath-can*, w starogreckich bowiem zapasach, mimo całej siły i potęgi muskułów, siłacze innych krajów zwyciężają ich z łatwością, gdyż tureckim siłaczom brak wprawy w tego rodzaju walkach.

Tego roku, w Paryżu, do walki o nagrodę *Ceinture d'Or* (nagroda złotego pasa) stanęła do walki wśród szeregu takich atletów jak Pons, Antonith, Raul Boucher, Siegfried, Weber, Strenge i Chemiakin, czterech turków: Madrali, prawdziwy olbrzym, który nieraz już brał udział w zapasach na kontynencie i walczył w Londynie z Hackenschmidtem, oraz trzej nowi siłacze, dotychczas w Europie nieznani, Redjab Pengal, Mehmed Hassanot i Mustapha Mehmidoff, zwycięscy z turnieju atletycznego na wschodzie, jaki odbył się niedawno w Ruszczuku.

Pisma francuskie, zarówno sportowe, jak i dzienniki, poświęcające sportowi tylko bardzo szczupłe notatki, zachwycają się wspaniałą budową nowych tureckich atletów, muskulaturą ich ciał, równomiernem wykształceniem każdego muskułu, niewidzianą dotychczas proporcyonalnością członków i przyrównują ich do starych rzymskich gladyatorów, których podobizny przekazało nam starożytne malarstwo i rzeźbiarstwo.

Te zalety pozwoliły im wysunąć się na czoło współzawodników i zwrócić na siebie ogólną uwagę, choć po za tem palma zwycięstwa i nagrody pieniężne dostały się w inne ręce, gdyż tureckim olbrzymom brakło wprawy w zapasach tego rodzaju i skutkiem tego każdy z nich, nie mogąc rozwinąć należycie swej siły, padał ofiarą sposobu przeciwnika, umiejącego wykorzystać każdy nieprawidłowy ruch, każdy wolniejszy obrót, lub chwilowy brak decyzyi tureckich siłaczy. Zwycięzcy sami przyznali się, że jedynie niewprawność Turków umożliwiała im pokonanie ich, a ponieważ zwycięzcy z Ruszczuku obecnie poddali się europejskiemu treningowi i na gwałt uczą się sposobu walki, znanej pod nazwą starogreckich zapasów, więc też w niedalekiej przyszłości europejscy atleci pozyskają w nich nielada konkurentów, a Turcya, dzięki sile muskułów kilku swych obywateli, zwróci znów na siebie uwagę całej Europy.



Mustapha Mehmidoff. Redjab Pengal. Madrali. Mehmed Hassanot.

Nowi atleci tureccy.

Czworonożny liliput.

Odżyła w rzeczywistości znana bajeczka o Guliwerze i Liliputach, ale z małemi zmianami!

Otóż najsamprzód los-psotnik przeniósł ją do zwierzęcego światka i na bohaterów pasował ród koński, a później, aby go nikt nie podejrzywał o wzorowanie się na innych, obrócił — jak to mówią — kota do góry ogonem i w ten sposób nastąpiła zmiana tytułu „Guliwer wśród Liliputów“ na „Liliput wśród Guliwerów“.

Sława szkockich kucyków, zwanych w języku sportsmenów „poney'ami“, obiegła cały świat i zapewniła tej rasie niemałe wzięcie. Drobne owe koniki, muskularne, nader wytrwałe, o krótkich, grubych szyjach i wytrwałych nóżkach, odznaczające się niezwykłą pojętnością i łagodnością, są ulubieńcami dzieci, które bawią się z niemi jak z psami, wyprawiając najróżnorodniejsze figle i nie narażając się przy tem na żadne niebezpieczeństwo, jak np. kopnięcie lub ukąszenie, dzięki wrodzonemu łagodnemu temperamentowi poney'ów.

Z tej rasy pochodzi Liliput wśród końskich Guliwerów jedyny, najmniejszy na całym świecie koniczek, który w całym „ogromie“ swej postaci posiada zaledwie sześćdziesiąt pięć centymetrów wysokości, licząc od kopyt do grzbietu. Koński ten Liliput okryty długim włosem, strojny w pomierzwioną grzywkę i ogonek w loczki, już wobec angielskich dogów wygląda na karła. Cóż dopiero mówić o tem, jak śmiesznie małym jest on wobec swych współbraci poney'ów, lub wobec rosłych hunterów piętnastej miary!... Co prawda, na wyspach szkockich kucyki, liczące 80 centymetrów wysokości, nie należą do rzadkich okazów, ale i one są jeszcze olbrzymami w porównaniu do tego miniaturowego konika, należącego obecnie do największych osobliwości, do senzacyi dnia, tem bardziej, że doszedł właśnie tego wieku, w którym konie przestają już rosnąć.

Z ryciny, jaką podajemy, Czytelnicy nasi i Czytelniczki najlepiej mogą sobie wyrobić pojęcie o wyglądzie nowoczesnego Liliputa czworonogów.



Kardynał Merry del Val
Sekretarz Stanu św. Kuryi.

Kardynał Merry del Val.

Stolica Apostolska, acz pozbawiona obecnie władzy świeckiej, stoi jednak ponad wszystkie trony i mocarstwa siłą duchową i niespożytą potęgą świętego swego posłannictwa.

Jednym ze znakomitszych sił Watykanu jest obecny sekretarz stanu kardynał Merry del Val.

Podajemy na tem miejscu podobiznę dzielnego kardynała — jednego z niewielu przedstawicieli „wolnomyślnej“ partyi w Watykanie, dążącej do pogodzenia obowiązków swego stanu z dobrze pojętym i zrozumianym patryotyzmem. Nie zapominajmy, że jednym z największych patryotów włoskich jest obecnie zasiadający na stolicy Apostolskiej Ojciec św. Pius X.

Wiarołomna żona.

WSPÓŁCZESNY ROMANS KRYMINALNY.

12 (Ciąg dalszy).

Łukasz złamał się we dwoje, przysięgał, zapewniał o swojej wierności dla księcia, nawet niby na płacz mu się zbierało z żalu, że go książę posądza. Książę uwierzył, lub udał że wierzy, dość, że dalsze tajemne dawał mu zlecenia, nakazując ostrożność i pośpiech.

Odprawił kamerdynera, a potem uspokoiwszy się nieco, zebrał się do drogi.

* * *

Zaledwie książę Ferdynand wyjechał z zamku, z orszakiem myśliwskim, marszałek Wurm zdążał szybko ku apartamentom księżnej i poprosił o rozmowę z hrabianką Landesberg. Sprzymierzeńcy pomagali sobie we wszelkich intrygach, ale też wzajemnie się oszukiwali. Hrabianka chciała używać Wurma za narzędzie, aby zgubić Klarę i unicestwić małżeństwo Elzy z Ferdynandem — a Wurm, czyniąc pozornie wszystko na korzyść hrabianki, zdążał jedynie do tego, by ją tak omotać i skompromitować, żeby mogła, czy musiała zostać jego żoną. Ale działali wspólnymi siłami, zwłaszcza, gdy jedno bez drugiego obejść się nie mogło.. W tej chwili była hrabianka potrzebna Wurmowi, a widać, że sprawę miał pilną, bo niecierpliwie kręcił się po salonie, i wielce się ucieszył, gdy hrabianka się ukazała.

— Widzę po pańskiej fizyognomii, kochany marszałku, że się coś wydarzyło — rzekła Judyta, spojrzawszy na Wurma. Coś niezwykłego, skoro nawet pan nie możesz ukryć wzruszenia.

— Istotnie, że zaczynają się dziać rzeczy wprost przerażające. Księciu Ferdynandowi odkryto wszystko. Właśnie popędził do Hexenstein, pod pozorem polowania.

— Czy pan się tylko nie myli? Któżby to mógł był uczynić?

— Nie ma czasu na dochodzenia. Tu trzeba działać energicznie, natychmiast.

— Jeżeli książe wyjechał już do Hexenstein, to go nawrócić nie zdołamy, ani już nie uprzedzimy, by Klarę stamtąd usunąć.

— O to mniejsza. Dzieje się coś ważniejszego. Doniesiono mi właśnie, że pokojowa Sterneggowej, zabrała na rozkaz księcia jej najlepszą garderobę, bizuterye i pojechała książęcą karetą do Walddorfu, gdzie ma czekać pod gospodą na Klarę i księcia. Rozumie pani, co to znaczy?

— Miałby się poważyć?! — syknęła Judyta — ta ścierka miałaby tryumfować?! Nie, nie, — nie możemy do tego dopuścić. Trzeba przeszkodzić czemprędzej. Masz słuszność marszałku, że dzieją się rzeczy przerażające.

— Trzeba natychmiast uwiadomić panującego księcia, że następca tronu taką awanturnicę poślubić zamierza. Niech książę siłą temu przeszkodzi. Dlatego to właśnie przybywam do pani, abyś księżnę uwiadomiła o wszystkiem.

— Zaledwie Sternegg zakończył życie, już korzystają z wdowieństwa.

— Niepotrzebnie mu było teraz umierać, dorzucił Wurm.

— Zdaje mi się marszałku, że ci go żal teraz.

— Ale śmierć Sternegga zapobiegła skandalicznemu procesowi, czego księstwo obawiali się oboje — a więc Sternegg umarł dlatego, by księstwo mieli spokój.

— Pokazuje się, że to właśnie będzie źródłem największego skandalu.

— Czyńmy co można, aby temu zapobiedz.

— Zanosi się na straszną burzę familijną.

— Byle gromy w nas nie uderzyły. Do widzenia hrabianko — spiesz pani do księżnej, ja spieszę do księcia.

Księżniczka z bajki.

Pełnym galopem pędził następca tronu gościńcem, przez gęsty las wiodącym. Obok niego adjutant hrabia Buchenau, a za nim Łukasz. Na skręcie, gdzie się z gościńca na lichą drogę leśną zjeżdżało, wstrzymał konia i omijając wyboje, wystające korzenie i spłukane ławy kamieniste, jechał już stempem. Skorzystawszy z tego Buchenau, zapytał:

— Wasza książęca miłość zdąża do zamku Landesberg?

— Nie, mój kochany hrabio, odpowiedział książę z tajemniczym uśmiechem — jedziemy do Hexenstein.

Buchenau zaczął coś mówić, ale książę nie odpowiedział, zapatrzony w dal, podniecony, niespokojny. Za chwilę zatrzymali się na polanie leśnej, gdzie czekała gromada nadwornych strzelców z łowczym na czele. Trzymano psy na sforach i osiodłane konie. Była to dla hrabiego prawdziwa niespodzianka, bo nic nie wiedział o rozkazach księcia, wydanych Łukaszowi, a już jak największe ogarnęło go zdumienie, gdy spostrzegł konia osiodłanego damskiem siodłem, bogato ozdobionem. Książę podjechał do łowczego i wydał mu po cichu jakieś rozkazy, poczem łowczy ze strzelcami się oddalił, a tylko służba została przy koniach.

— Za mną, krzyknął książę i pojechali do Hexenstein, a służba za nimi konie prowadziła.

Musiano jechać bardzo pomału, bardzo ostrożnie, bo droga ciągnęła się po skalistych urwiskach. Buchenau był zamyślony, poważny, a niespokojny. Znać było, że coś rozważa, że walczy z sobą, nareszcie, jakby powziął jakieś postanowienie, energicznie podjechał do następcy tronu i rzekł:

— Domyślam się, że wasza książęca miłość szuka w Hexenstein tego, czego nie znaleziono w Landesberg.

— Zgadłeś kochany hrabio i jestem też pewien, że dziś nie będę szukał daremnie.

— Czy pozwoli sobie wasza książęca miłość zwrócić uwagę, że może lepiej nie szukać nieszczęścia.

— Przeciwnie mój kochany, odpowiedział książę, z tym samym tajemniczym uśmiechem, co poprzednio. Przeciwnie, tam właśnie szczęście moje i wnet się o tem przekonasz. Oto jesteśmy na miejscu. Łukasz!

Kamerdyner podjechał galopem, zarył się z koniem w ziemię tuż za księciem, zeskoczył z siodła i odebrał konia od księcia.

Natychmiast kazał iść za sobą służbie, z adjutantem spinał się prędko po kamienistych ławicach ku wieży, na skale spiętrzonej. Spoglądał chciwie w górę, ale nie dostrzegł żadnej żywej istoty, żadnego znaku życia, pośród tych starych kamieni.

Stanęli pod bramą. Zamknięta szczelnie, a chociaż rdza pokryła i po części przeżarła żelazne okucia, mocno była osadzona, bo ani drgnęła pod naciskiem silnej dłoni księcia. Książę zaczął kołatać z całem natężeniem, poczem w okienku nad bramą ukazała się twarz męska.

— Otwieraj natychmiast, krzyknął książę.

Jakoż bramę rozwatro, a w niej stanął wybladły z przerażenia służący hrabianki, co tam był na straży.

— Łotrze! — krzyknął książę, chwytając służącego za kark — prowadź mnie do pani Sternegg.

Wylękły służący uginał się na nogach i ledwie zdołał drapać się po ciosowych, na pół załamanych schodach na piętro. Stanęli przed okutemi drzwiami. Służący poodsuwał żelazne zawory i otworzył drzwi.

Była to izba dość obszerna, ale ponura, zaniedbana. W niej proste drewniane łóżko, stolik i dwa krzesła. Na środku izby stała Klara, wybladła, znękana, wystraszona. Gdy spostrzegła księcia, rzuciła się ku niemu z szaloną radością:

— Boże! to książe mój wybawca! Ach, przecież koniec męczarni!

Zalała się łzami, łkała, padła na kolana, całowała księcia po rękach, szalała z radości. Książę ją dźwignął, przycisnął do piersi, nie bacząc na adjutanta i służbę.

— Uspokój się, otrzyj łzy, podnieś cudne czoło do góry, bo godzina tryumfu wybiła. Wiem wszystko. Poznałem wszelkie niegodziwości intryg i podstępów. Ale wszystko minęło — dosyć naszych męczarni — woła książę w zachwycie.

— A ja myślałam, że już do mnie nie wrócisz, bo hrabianka Landesberg zapewniła, że zgodziłeś się na to, aby mnie zamknięto.

— Chciałem natychmiast wyrwać cię z tej niegodziwej niewoli, ale do zamku Landenberg przybyłem za późno, niestety, bo cię tymczasem tu przewieziono. A tak chytrze zachowano tajemnicę, że niełatwo było mi dowiedzieć się o tem nowem więzieniu.

— O, szlachetny, o zacny, o ukochany! — powtarzała Klara.

— Dziś dam ci dowód, jak wielką jest miłość moja; dziś zadrżą wszyscy twoi prześladowcy.

— Cóż uczynisz?

— W tej chwili zaprowadzę cię do ołtarza i zostaniesz moją żoną.

— Twoją... żoną... Twoją?... Boże! więc spełnią się sny i marzenia moje!

— Chodźmy, wszystko przygotowane.

— Boże! wszakże to niemożebne, bo moje małżeństwo...

— Już zerwane, bo Sternegg nie żyje. Jesteś zupełnie wolną.

— Skazany na śmierć?

— Sam się zabił. A teraz spieszmy.

W czasie tej rozmowy usunął się hrabia Buchenau z izby i służbę zabrał z sobą, bo wstyd mu było patrzeć i słuchać.

Klara wyszła oparta na ramieniu księcia i zobaczywszy adjutanta, spojrzała na niego dumnie i wyniośle, nie zwracając nawet uwagi na kłaniającą się nisko służbę. Gdy zeszli na dół, Klara dosiadła konia i jechała przy boku księcia zuchwale tryumfująca.

A więc ziściły się sny i marzenia, a więc zostanie ową księżniczką z bajki, o której prawił w gorączce jej synek maleńki. Marzyła błogo! Jakże teraz będzie się mściła na nienawistnej Judycie, jak upokorzy Wurma! Tak się do niej śmiało niebo, tak się jej wdzięczyła ziemia — że była w zachwycie bez granic, bez końca.

Wtem koń parsknął za nią. Obejrzała się; to parsknął koń Buchenaua. Mimowolnie rzuciła okiem na hrabiego i spostrzegła, że miał wyraz twarzy ponury i pogardliwy. Odwróciła się prędko, ale przerwały się tęczowe pasma niebiańskich marzeń, a śmiejące się niebo i wdzięcząca się ziemia, pokryły się czarną chmurą, brzemienną w burze i gromy. I zdawało się, że już pioruny padają. Błyskawica wspomnień rozdarła chmurę wyrzutów sumienia i lęku i przy tej błyskawicy zobaczyła dawnych kochanków. Druga błyskawica wspomnień oświetliła tancerkę Elwirę, trzecia czerwonego Ludwika i jego groźby, a potem nieprzyjaciół dokoła i pogardę ludzką.

Zadrżała, jakby wiatr mroźny dowiał jej do szpiku kości, bo tuż za nią jechał świadek jej wyuzdania. Była płatną kochanką hrabiego Buchenaua, ale ją porzucił dla owej nieszczęśliwej Elwiry. Jeżeli teraz ostrzeże księcia, jeżeli opowie wszystko, jeżeli książę uwierzy — ach! to nastąpiłby koniec bajki, książę wypędziłby ją z zamku.

Na szczęście dla niej, zjechano z leśnej drogi i pokłusowano bitym gościńcem, a szybka jazda rozprószyła tumany smutnych myśli i czarne chmury wyrzutów sumienia.

Dojechano do wsi. Przed gospodą stała dworska kareta, otoczona służbą. Gromada ludzi spoglądała na to ciekawie; jedni się gapili bezmyślnie, inni rozprawiali, czyniąc nieśmiałe domysły. Gdy książę się zjawił zaczęto wrzeszczeć wiwaty. Zsiedli z koni. Przed gospodą stała już Rózia i odprowadziła Klarę do izby, zamienionej na elegancki buduar. Klara zaczęła się ubierać do ślubu — a książę szedł do plebanii, Buchenau koło niego.

— Książę — rzekł Buchenau — pozwól, bym w imię najjaśniejszych państwa, w imię kraju, w imię naszej armii, w imię honoru narodowego przemówił do waszej książęcej miłości.

— Czego pan sobie życzysz? — rzekł książę oschle, opryskliwie.

— Abyś mości książe zaniechał tego strasznego zamiaru, który powziąłeś.

— Cóż tak pana przestrasza?

— To, co książę uczynić teraz zamierzasz.

— Cenię pańskie przywiązanie, pańską przyjaźń, ale postanowiłem poślubić Klarę w tym tu kościele i to się spełni.

— Zaklinam cię mości książę, nie czyń tego, bo to ubliża twemu honorowi.

— Panie hrabio! zastanów się co mówisz!

— Mówię prawdę i spełniam przez to obowiązek wobec kraju, wobec dynastyi, wobec najjaśniejszych państwa. Spełniam go względem waszej książęcej mości. A wreszcie poczucie własnego honoru zniewala mnie do tego.

Książę spojrzał ponuro na Buchenaua, oczy iskrzyły mu się gniewem i niecierpliwością. Wyprostował się i zawołał szorstko:

— Mów pan! Słucham.

— Przedewszystkiem zwracam uwagę waszej książęcej mości, że pani Sternegg była niegdyś... niegdyś... moją... kochanką.

— Książę zbladł, zagryzł wargi, a potem uśmiechnął się wzgardliwie i rzekł:

— Tak? cóż więcej?

— Wasza książęcą mcść raczy sobie przypomnąć piękną Elwirę, baletnicę. Mimo swego zawodu, była to osoba skromna, uczciwa. Była chwila, że postanowiłem ożenić się z nią.

— Czemuż pan tego nie uczyniłeś?

— Bo nagła, niespodziewana śmierć Elwiry temu przeszkodziła. Zbrodniarz odebrał jej życie.

— Jakiż to ma związek z tem wszystkiem, o czem pan mówić miałeś?

— Związek bardzo ścisły, bo owym zbrodniarzem jest pani Sternegg.

— Podłe oszczerstwo! Już ani słowa! Zabraniam panu powtarzać takie kłamstwa. Jeżeli tak było, czemuż owej zbrodniarki nie oddano sądowi?

— Bo nie było dowodów prawem wymaganych.

— Więc jak pan śmiesz miotać takie straszne obelgi na niewinną kobietę, która za godzinę będzie moją żoną?

— Śmiem, mości książę, bo mi na to pozwala sumienie, a rozkazuje mi honor. To nie oszustwa, to nie obelgi, to nie kłamstwa, ale prawda, straszna, bolesna prawda. Książę, zlituj się nad ojcem, matką, krajem, nad swoim honorem, i odepchnij od siebie tę... syrenę...

— Milcz! krzyknął książę w największem oburzeniu. Nie wierzę panu, nie wierzę wam wszystkim oszczercy, niegodziwcy. Oddalam pana. Proszę natychmiast wracać i wnieść w tej chwili prośbę o uwolnienie ze służby adjutanta.

To rzekłszy, odwrócił się książę i pognał nie spojrzawszy na adjutanta, a hrabia Buchenau spoglądał za nim z bolesnym wyrazem twarzy, wreszcie odjechał do stolicy.

Klara wystrojona, dumna, jakoś szatańsko wspaniała, była zupełnie gotowa. Zaczęła się już niecierpliwić i niepokoić, gdy książę wpadł do pokoju rozdrażniony, gniewny, nie zdoławszy stłumić w sobie oburzenia na przestrogi adjutanta. Zaniepokojona Klara, spytała księcia z uśmiechem kokieteryjnym, lubieżnym, którym władała znakomicie:

— Cóż to? chmura na czole mego cudownego księcia? Teraz? w takiej chwili?

I zionęła na księcia gorącym, namiętnym oddechem, a oczyma wpiła mu się w mózg, w szpik kości, w krew. Książę zapomniał w tej chwili o wszystkiem, a krew kipiała w nim jak lawy wulkanu, gdy patrzał na tę kobietę, co miała tyle czaru dla niego.

— Ej, to tylko niemiła rozmowa z hrabią Buchenau — wyszeptał książę płomienny, nie nasycony.

— Klara zadrżała. Lotem błyskawicy przeszły straszne myśli przez jej głowę. Może Buchenau opowiedział księciu, może wspomniał o Elwirze, może na razie nie usłuchano go, ale co będzie, jeżeli powtórzy i znajdzie wiarę? Więc trwożna, ale panująca nad sobą, spogląda Klara na księcia i ku wielkiej radości widzi na jego twarzy, w jego oczach, tylko pożądliwości, tylko zaślepienie, tylko namiętność. Minęły obawy wszelkie, tryumf zaigrał na ustach lubieżnicy i pokrył je wilgocią namiętności, a książę ssał z tych ust truciznę swego życia i hańbę swego imienia.

Wyrwał się z objęć i pospieszył na plebanię.

Tu już był Łukasz, z polecenia księcia, z wezwaniem, aby pleban przygotował się do dania ślubu. Pleban wyprosił Łukasza z niczem właśnie w chwili, gdy książę do probostwa się zbliżał.

— Proboszcz odmawia — rzekł Łukasz, wybiegłszy czemprędzej naprzeciw księcia.

— Co? on śmie? wrzasnął książę i wpadł do plebanii wściekły z gniewu.

Proboszcz przyjął go zupełnie spokojnie, poważnie i rzekł:

— Ubolewam, że nie mogę spełnić życzenia waszej książęcej mości.

— Dlaczego? — spytał książę opryskliwie.

— Bo mniemam, że ten ślub sprzeciwiać się musi woli najjaśniejszych państwa.

— Jestem pełnoletni, a prawo dozwala żenić się każdemu pełnoletniemu bez pytania o zezwolenie rodziców.

— Istotnie, tak jest, ale owa osoba, którą wasza książęca mość poślubić zamierza, jest mężatką, zatem...

— Osoba, którą poślubić zamierzam jest wdową, o czem wie kraj cały z gazety urzędowej.

— To mi nie wystarcza. Wedle przepisów prawa, musi owa osoba przedłożyć akt zgonu swego męża.

— Zamiast tego aktu, ja daję moje poręczenie i biorę za wszystko odpowiedzialnosć. A teraz domagam się stanowczo ślubu, do czego mam zupełne prawo i czego mi nikt odmówić nie może.

— Uczynię to, ale zastrzegam się, że czynię pod przymusem, zniewolony stanowczą wolą i rozkazem waszej książęcej mości.

Wnet po tem zdążała kareta dworska z gospody do kościoła, a za nią książę na koniu, z orszakiem służby, którą dowodził Łukasz.

Przed kościołem tłumy ludzi gapiły się na widowisko tak niezwykłe. Orszak ślubny zatrzymał się przed kościołem. Klara wysiadła z karety i spojrzała na tłumy ze wzgardliwą wyniosłością; za Klarą szła wystrojona Rózia. Za księciem podążał Łukasz z dwoma lokajami.

Już właśnie skończył się obrzęd zaślubin, już orszak zwracał się ku wyjściu, gdy przed kościołem powstał gwar, rozległ się tentent koni, usłyszano szczęk broni. I w jednej chwili wkroczył do kościoła oddział wojska pod dowództwem oficera, który zdążał szybko ku ołtarzowi.

— Co to znaczy? — zapytał książę.

— Mam rozkaz uwięzić panią Sternegg — odpowiedział oficer.



...Ani drgnęła pod naciskiem silnej dłoni księcia...

— Spóźniłeś się pan, bo pani Sternegg już nie ma, a ta oto pani jest moją żoną.

— Oficer spojrzał ze zdumieniem na księcia, z pogardą na Klarę i rzekł sucho, urzędowo:

— Skoro tak, wracam natychmiast, by zdać raport najjaśniejszemu panu.

— Uczyń pan to. Ale pamiętaj pan, że do następcy tronu nie przystępuje się bez jego zezwolenia i wezwania.

— Spełniłem rozkaz najjaśniejszego pana, więc wasza książęca mość u tronu użalić się na mnie raczy, jeżeli uznaje za stosowne ganić moje postępowanie.

Oficer ukłonił się służbowo i wyszedł. Za chwilę popędził cwałem do stolicy, na czele oddziału huzarów.

Klara o mało nie zemdlała. I znowu widma czarnych myśli wynurzyły się przed nią. Uspokoił ją książę, podał jej ramię, wsadził do karety — odjechali i tłumy pyłu oddzieliły ich od wiejskiej gawiedzi.

Przeciw woli matki.

Księżniczka Elza uwiadomiła matkę o tej rozmowie księcia z Judytą, której była mimowolnym świadkiem w czasie balu dworskiego. Nie taiła oburzenia i wręcz oświadczyła, że zerwie wszelkie z księciem stosunki.

Księżna, widząc energię córki i nie chcąc jej podniecać surowością, uspakajała księżniczkę, wymuszała z siebie tkliwość i delikatność macierzyńską. Wreszcie wyjednała tyle, że księżniczka przyrzekła czekać cierpliwie, dopóki matka całej sprawy nie załagodzi, dopóki książę nie usprawiedliwi się, nie przeprosi i nie zmieni. Tymczasem unikała dworskich zebrań, aby się z narzeczonym nie spotykać, a ile razy przybył w odwiedziny, zawsze wymawiała się od nich jakiemś cierpieniem, lub przyjmowała księcia o tyle tylko, o ile etykieta dworska niezbędnie tego wymagała.

Osamotniona, z sercem złamanem, z urażoną godnością własną, lgnęła jeszcze bardziej do swej jedynej przyjaciółki, powiernicy i pocieszycielki. A panna Warburg kochała księżniczkę jak siostrę, czciła jak męczennicę.

Nie zapomniała Elza o biednym Walterze. Teraz, gdy go usunięto, jeszcze bardziej za nim tęskniła. Niepokoiła się o niego, chciała się dowiedzieć, gdzie jest, co się z nim dzieje. Im bardziej oburzała się na księcia i zniechęcała ku niemu, tem silniej odzywała się w jej sercu miłość Waltera. Ale wszelkie zabiegi panny Warburg, aby dociec, dokąd malarza wywieziono, były niestety daremne. Wiedziano, że losem jego zajął się marszałek Wurm, ale co z nim uczynił, gdzie go umieścił, od nikogo nie można było się dowiedzieć. Więc rosły cierpienia księżniczki, a w miarę tego i niechęć do księcia.

Na tak zbolałą duszę padł teraz cios straszny, a to wiadomość o morganatycznym ślubie narzeczonego z awanturnicą. Była to zniewaga ciężka, zuchwała, bezczelna. Tego już było za wiele. Pospieszyła do matki wzburzona, zbolała, ale skupiona w sobie, energiczna, stanowcza. Księżna domyśliła się na widok córki, że księżniczkę uwiadomiono o wszystkiem, mimo najsurowszych zakazów. Uznała, że będzie trudne zadanie uspokoić obrażoną, więc zdobyła się na niezwykłą u siebie cierpliwość, spokój i czułość.

— Pojmuję to, moje dziecko, że cię ta niemiła awanturka uraziła, ale nie trzeba sobie rzeczy wyobrażać tragicznie — rzekła księżna w toku rozmowy z córką, — bo to chwilowe zapomnienie, ot coś takiego, na co się właśnie uwagi zwracać nie powinno.

— Ależ mamo! my się nigdy wzajemnie nie zrozumiemy. Ja pojmuję małżeństwo jako wynik wzajemnej miłości, jako zaspokojenie uniesień serca i jego pragnień, a słyszę wciąż z ust twoich, że małżeństwo jest wynikiem pewnych konieczności towarzyskich, jest skutkiem rachuby z życiem i jego wymogami, jest poprostu kontraktem handlarskim.

— Uwzględniam, że jesteś rozdrażniona i nie chcę ci przerywać, lecz zwracam ci uwagę moje dziecko, że w naszych sferach można lubieć poezyę w książce, ale nie w życiu.

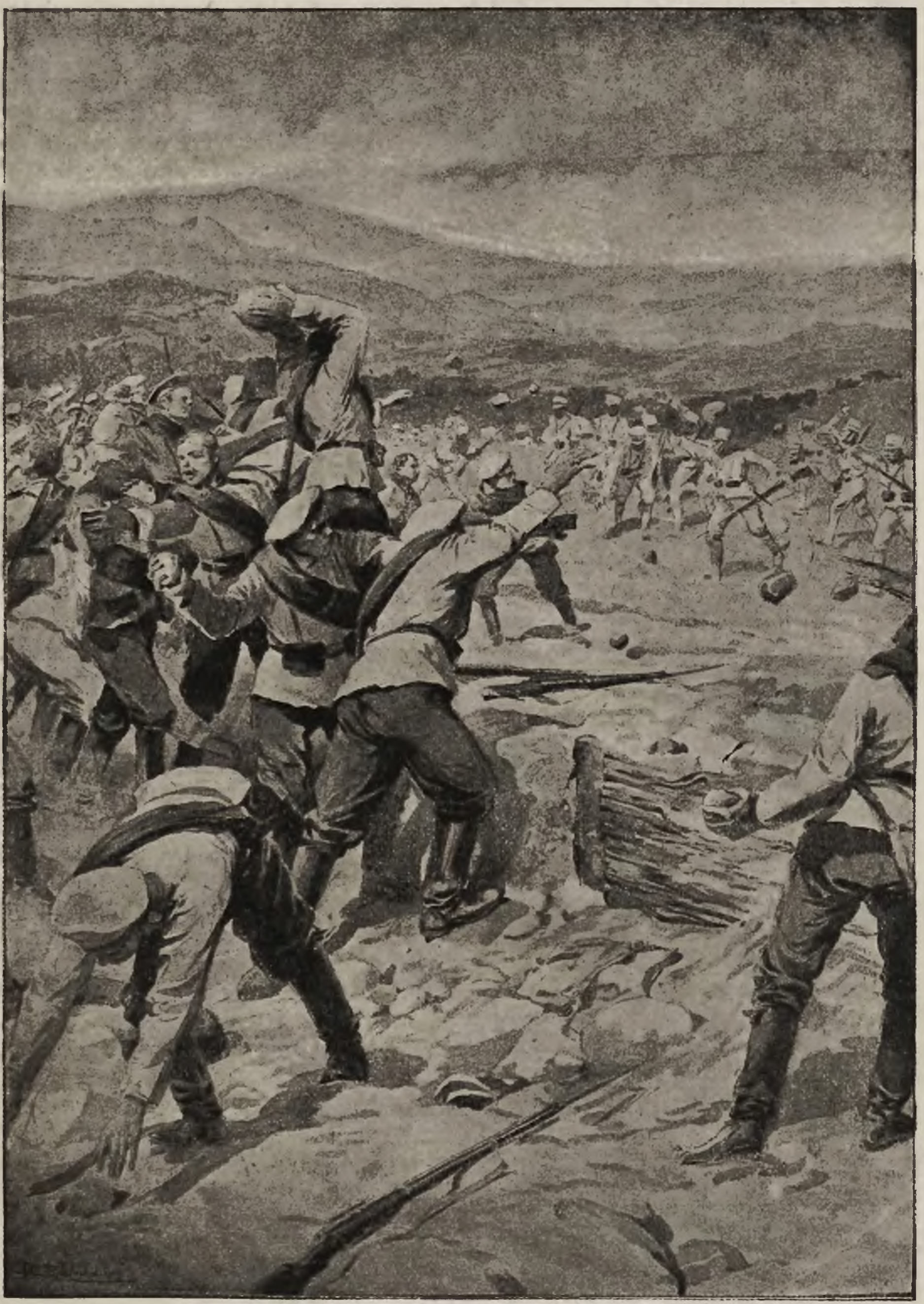
— Ależ nie poezyi bronię, nie urojeń jakichś, jeno prostej, zwykłej uczciwości. Jakże przysięgać przy ołtarzu miłość, jeżeli się ma tylko wstręt i pogardę. Ale chcieliście tego, chcieliście uczynić ze mnie ofiarę rachub dynastycznych, ulegam, złamałam serce, zgodziłam się na zaręczyny z człowiekiem, którego nie kocham. Z serca uczyniłam ofiarę, ale nie uczynię jej z godności własnej. Nie, nie.

— Zapomnij o tem. Ferdynand porzuci tę kobietę; wszak to ślub morganatyczny, a potem będziesz jeszcze bardzo szczęśliwą żoną.

— Mam zostać następczynią takiej kobiety! Matko! co ty mówisz? Matko! gdzie wstyd, gdzie cześć kobieca, gdzie poczucie godności?

— Zapominasz się, moja droga — rzekła księżna, tracąc cierpliwość.

— O nie, nie. To nie zapomnienie, to pełna świadomość upokorzeń, na jakie mnie narażły te układy familijne. Ale się im nie poddam. C. d. n.



Z wojny ros.-jap.: Walka na kamienie między Japończykami a Rosyanami pod Portem Artura, przy zdobywaniu fortów.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

W jednym z ostatnich numerów monachijskiego tygodnika „Simplicissimus", znajdujemy bardzo budującą rycinę pod tytułem „W Hadze". Więc w tej Hadze słynnej konferencyami pokojowemi, w tej kolebce gałązki oliwnej, którą Anioł Pokoju miał szczepić po wojowniczym świecie, w tej Hadze cichości pełnej, w Hadze dobrotliwej, pojednawczej, w owej „świętej" Hadze. Rycina przedstawia dwa stada, stado wilków i stado owiec. Na głównym planie stoi ogromne wilczysko i łupi owieczkę ze skóry. Naokoło piszczele, łby, skórki owcze i tem podobne „pokojowe" zdobycze. Naokoło również, jak się wyraża św. Franciszek z Assyżu, stoją „bracia wilcy", każdy nad swoim baranem.

W okół spłoszone stada owiec, pośród nich wiele odartych ze skóry. Wszystkie patrzą osłupiałe na odbywającą się właśnie „konferencyę pokojową".

Pod spodem napis:

„Nażarłszy się do syta, odbywają wilki kongres pokojowy".

Oto jest obraz wszelkich kongresów pokojowych. Za skórą mają zawsze... kość, o którą się gryzą pokojowi przyjaciele. Niema co mówić, dalekośmy zaszli na drodze tego pokoju.

Trudno brać Japończykom za złe, że walczą w obronie ojczyzny, na którą Rosya mimo swych wykrętów, ostrzyła sobie oddawna zęby. Nietrudno też ostatecznie pojąć sprawę i konieczność wojny ze stanowiska rosyjskiego, jej gwałtem odkryte karty, jej obrażoną butę i zagrożony „honor mocarstwowy". A już listy Tołstoja przeciw wojnie, przyjmie każdy łagodniejszy umysł z żywą wdzięcznością. Gdy się natomiast rozejrzy oko nasze w dziejach przykazania miłości i porówna je z tymi czasami, gdzie panował rozkaz „oko za oko", lub z tymi, gdzie bez wyraźnego rozkazu czyniono tosamo — to, zaiste, nie trudno dostrzedz, że od klatki krwiożerczego kręgowca przedpotopowego, do salonów nowożytnego człowieka z XX. wieku droga jest wcale bliska, że po ścieżkach prawdziwej ludzkości idzie się bardzo powoli, a dotąd się zaszło bardzo niedaleko. Nietylko charakter ludzki wcale nie złagodniał, lecz przeciwnie, nigdy nie mordowano się z taką dzikością i wyrafinowaniem. Całego dorobku cywilizacyjnego, całego arsenału wynalazków użył dziś człowiek do tego, by maszynę wojenną jak najbardziej wydoskonalić. Proch bezdymny, łodzie podwodne, balony, telegrafy bez drutu — wszystko w usługach wojny. Balony odgrywają wcale niepoślednią rolę. Zapomocą nich śledzi się z daleka ruchy nieprzyjacielskie, przesuwanie wojsk, zapomocą nich daje sygnały. Nasza rycina przedstawia balon rosyjski, należący do parku balonów pod Mukdenem.

Oprócz tych bardzo nowożytnych środków wojennych, nie gardzą zapaśnicy nawet walką na kamienie. Zapewne brakło im ładunków, więc, zanim pójdą na bagnety, porywają co mają pod ręką, by się jeszcze w ostatniej chwili, o ile można, poturbować. Niektórzy rzucili nawet karabiny i dalejże prażyć się kamieniami, niby bandy rozpasanych uliczników. Lecz i to walka tak dobra, jak i inne, nawet od innych lepsza, bo mniej szkodliwa. Co prawda, skończy się i ten bój, jak inne... rzezią. „Po boju dniówka na wsi lub w mieście, jakaż to miła sercu podzięka, gdy na cię błyśnie oczko niewieście, zabije serce i zadrży ręka. Bo Polek serce i ich urodę, Żuaw czcić umie, jak żołnierz prawy, byleby umiał za tę nagrodę umrzeć chwalebnie na polu sławy". Tak było u nas. W Japonii tę dniówkę, tj. czas wolny od boju, obchodzi żołnierz inaczej. Raz, dwa — i scena gotowa. Miłość do widowisk teatralnych nie opuszcza Japończyka nawet na polu bitwy. Amator wdziewa kostyum, szopę zamienia się paru kocami na teatrzyk, żołnierze siadają, na czem kto może i słuchają z zaciekawieniem monologu. Opodal stoją karabiny w kozłach. Nieraz zabrzmi nagle trąbka, publiczność rzuca się do broni i bój wre jak wprzódy.

A po boju znów teatr, lub uczta. Słyszymy często o brakach w wojsku rosyjskiem — w japońskiem lepiej. W manierkach rum i wino, w tytonierkach papierosy, w tornistrach: nawet kandyzowane owoce. Rycina przedstawia właśnie taką ucztę japońską. W dali kanonada. Armaty, ustawione na pagórku, grzmią, wyrywając całe pokłady ziemi i setki ludzkich żywotów. Na skłonie pagórka, w zagłębieniu terenu, odpoczywa oddział piechoty japońskiej, ucztując. W około tłomoki, opatrzone znakami japońskimi, karabiny, torby. Ani śladu znużenia, zniechęcenia, smutku. Ot, jak po pracy uczciwej a sumiennej. Banzaj!



Z wojny ros.-jap.: Jenerał baron Noghi, dowódca wojsk japońskich, oblegających Port Artura.

No, ale Port Artura? „Zaraz, już się robi!" Troszkę cierpliwości — był wprawdzie już kilkakrotnie zdobywany przez różne pisma krajowe i zagraniczne; wprawdzie już tyle razy czytaliśmy: jeszcze dwa tygodnie, potem jeszcze tydzień; dziś, jak i przed półrokiem, szeptano już nawet na ucho: lada dzień — a jeszcze się trzyma. Lecz nie dziwota. Bo też jeszcze nie było na świecie tak po szatańsku przez samą przyrodę i przez ludzi obwarowanego ustronia, jak ten Port Artura. Góra na górze, druty, palisady, rowy, jamy, przepaście, miny, tamy, zasadzki – sam dyabeł dobrzeby się spocił i pewnieby nie był od tego, żeby raczej ten port nazwać jego imieniem, niż znane z więzienia Dreyfusowego wyspy — ten port nazwać Dyabelskim, zamiast wysp Dyabelskich.

Ale niedarmo nazwano Japończyków — dyabłami. Dyabeł japoński ma też swoją ambicyę. Dziś, wcielony w Toga, wyławia miny z wejścia do portu, by przygotować drogę dla okrętów japońskich, które się gotują do zawładnięcia basenem i do ostrzeliwania fortów wewnętrznych z samej zatoki. Tymczasem baron Nogi dokazuje cudów od strony lądu. Przyszły Homer Japoński — a mają Japończycy już i swego Szekspira – wyśpiewa kiedyś te cuda w przyszłej Iliadzie japońskiej, która nie będzie wprawdzie opiewać, jak homerowska „Iliada",



Z wojny ros.-jap.: Jenerał Kuroki (1) komendant armii lądowej i książę Kuninomija (2) w kole towarzyszy.

aż dziesięciu lat oblężenia Troi, lecz w tem rocznem oblężeniu Portu Artura dosyć się znajdzie miejsca na równie, jak i tamte, zajmujące pienia. Czyż, bo dzisiejsze portarturskie szturmy Samurajów, tej starej szlachty japońskiej, zaopatrzonej w hełmy, napierśniki i miecze, ustępują w odwadze rycerskim bojom bohaterów Homera! Inne czasy i miejsca, lecz ta sama odwaga, ten sam patos i poezya, co dawniej. Są to oddziały ochotnicze, złożone z samych oficerów. Z mieczem, odziedziczonym po przodkach, idą do szturmu, jak ongi Achillesy i Hektory, różniąc się od tych ostatnich tylko tem, że do starego miecza przydano im jeszcze ręczne granaty. Przemawiają też do nich inaczej, niż do zwykłych żołnierzy. „Z wieku im i z urzędu ten zaszczyt należy“. Ongi tytułowali ich wodzowie rycerzami, a komenda do szturmu brzmiała uroczyście i patetycznie, oraz z pełnym godności ceremoniałem: „Uczynilibyście, rycerze, wielką radość cesarzowi, gdybyście zechcieli zdobyć tę twierdzę!“

Dziś brzmi zapewne i ta przemowa inaczej. Lecz duch ten sam i stary obyczaj po staremu, a pięknie, w tej wskrzeszonej odmianie bojowej zakwitnął.

Więc choć niejeden już tyle swej cierpliwości i nadziei wyczerpał, że go nawet sam rzeczywisty upadek portu nie ucieszy, choć inny takiej depeszy o rzeczywistym i nieodwołalnym upadku jego nawet nie uwierzy — to przecież, na podstawie



Z wojny ros.-jap.: Pociąg sanitarny, wiozący obłąkanych żołnierzy rosyjskich na stacyę Gundżalin.

ostatnich raportów o powolnych wprawdzie, ale faktycznych zdobyczach japońskiego oblężenia, powiedzieć musimy: ani się spostrzeżesz, jak upadnie. Dziś już Rosyanie prosili o zawieszenie broni; już przebąkują o nowych apetytach rosyjskich na angielską sferę działania w Azyi, w razie upadku portu, już się na niebie pojawiają komety i znaki — jeszcze chwilka, a tryumfalna iluminacya w Tokio z powodu wzięcia twierdzy, zapewniona.

Zanim się o niej rozpiszą dzienniki, zajrzyjmy do Mandżuryi. Nad Szaho stoją wojska gotowe do akcyi, brak tylko rozkazu. Tymczasem odbywa się ciągłe przesuwanie wojsk, wywiady, instrukcye i ostrzeliwania próbne. Kuropatkin jeździ ustawicznie to koleją, to samochodem, to konno. Poucza oficerów, wypytuje żołnierzy, zwiedza baraki i podziemne forty. Planów jego trudno dociec. Jeszcze przed trzema tygodniami postanawiał nie wszczynać akcyi zaczepnej. Ponieważ zaś przypuszczano, że i Japończycy nie przejdą do ataku — mniemano więc obopólnie, że w operacyach wojennych nastąpi przerwa zimowa. Widocznie jednak położenie uległo zmianie. Przesuwanie wojsk osłabiło podobno wschodnie skrzydło japońskie, a cyfrę jego obliczono już na 15.000. Dziecinne zabawki. Tak, jakby taką cyfrę można choć w przybliżeniu wymierzyć. Japończycy kryją tak sprytnie ruchy swych wojsk, tak każdy szczegół trzymają w tajemnicy, iż wszelkie przypuszczenia — to zamki na lodzie. Mimo to Kuropatkin, polegając na wywiadach swych straży, wszczął w owej stronie walkę zaczepną. Szereg potyczek, jakie już odbyły się, jest jej zapowiedzią. Cofanie się Japończyków, o jakiem czytaliśmy, miało być dowodem, że informacye o osłabieniu prawego wschodniego skrzydła japońskiego były uzasadnione. Ile w tem wszystkiem jest prawdy, to się zapewne wkrótce pokaże. Oczywiście, jeśli Japończycy raczą sami coś o tem powiedzieć, lub jeśli kłamstwo nie będzie leżeć w interesie Rosyan. Tajemniczość Japończyków bowiem jest przysłowiową. Naprzykład cała sprawa z Kurokim. Żyje, czy nie żyje? Ile było potwierdzeń tego faktu, tyle i zaprzeczeń. W końcu stanęło na tem, że odtąd pogłoski krążą sobie dowolnie i że tajemniczość Japończyków zrobiła swoje. W Rosyi inaczej. Jeśli ktoś umrze, np. Makarow, świat wie o tem w jednej chwili. To samo i z Kellerem. Komużby w Rosyi przyszło na myśl puszczać wieści o śmierci któregokolwiek z jenerałów. Dzieje się to chyba przypadkiem i pogłoska taka np. o śmierci jenerała Zazulicza utrzymuje się najdłużej kilka dni. Poczem następuje wyjaśnienie urzędowe i sprawa skończona. W Japonii inaczej.



Z wojny ros.-jap.: Chorąży rosyjski broni swego sztandaru.

Dziwna to rzecz naprawdę słyszeć rozmowy o tem, czy umarł, czy nie umarł Kuroki, jak gdyby szło o prostego szeregowca, a nie o wybitnego wodza. Widocznie jest w tem interes japoński. Puszczają wieści — potem je zacierają. Lecz trzeba pamiętać, iż plątać wieści i zacierać ślady, to właściwość ludów azyatyckich.

Tymczasem pisma, puściwszy w ruch swe maszyny, rozsypują całe tuziny zdjęć fotograficznych. Kuroki z familią, Kuroki z lornetką polną, Kuroki ze szpicrutą i Kuroki w pantoflach, przebrany po japońsku i w epoletach; z fajką i z mapą; otoczony sztabem i kołyszący wnuka. I komu tu wierzyć?

Drugi jaskrawy przykład.

Nikt zapewne nie wie, ile w tej wojnie zginęło statków japońskich. Sam rząd japoński potwierdził doniesienie o zniszczeniu okrętu tylko w dwóch wypadkach. Reszta wiadomości, pochodząc ze źródła prywatnego, ma wątpliwą wartość. Za to jakże wybornie znane są światu straty rosyjskie, urzędownie obliczone i ogłoszone. To samo z chorobami, z brakami w dowozie żywności, to samo z wypadkami obłędu. Z japońskiej armii żadnej wiadomości, z rosyjskiej pełno.

O marszałku Oyamie nic nie wiemy. Jeśli mamy jego fotografię, to z małżonką, z czasów pokoju, co robi na wojnie, gdzie mieszka, czy jeździ konno, czy automobilem, jak sprawuje dowództwo — nie słychać. Co za choroby trapią Japończyków — o tem mamy tylko pogłoski, że Rosyanie popadają w obłęd — o tem głośno. Choroba ta podczas długich walk pod Liaojangiem i Mukdenem przybrała takie rozmiary, iż cyfra obłąkanych miała dosięgać pięciu tysięcy żołnierzy. I nic dziwnego, wszakże pośród żołnierzy rosyjskich znajduje się



Z wojny ros.-jap.: Przedstawienie teatralne w obozie jap. urządzane przez oficerów dla żołnierzy w dniach wolnych od walki.

przeszło 100.000 ludzi nieświadomych, zabranych wprost z roli. Są to prości chłopi, gnani przez 12.000 kilometrów na plac boju.

Wszyscy przeważnie ojcowie rodzin, do tego nieczytelni i niepiśmienni, nieporadni, postawieni odrazu w warunkach o wiele gorszych, niż u siebie w domu. Nadto narodu japońskiego nie znający ani z nazwy. Jakże wielkiem musi być ich osłupienie na widok żółtolicych Japończyków z migdałowemi oczyma. Gdy po trzech tygodniach długiej podróży, znużeni, zmieszani, osłupiali staną do walki, czyż nie mogą wierzyć, że się znajdują wobec karłów, czy złośliwych demonów.

Niebezpieczeństwo i śmierć przedstawia im się w strasznych kształtach. Tu padają setkami konie, tam salwa niewidzialnych karabinów; tu skryty pocisk działowy rozbija pół oddziału, tam ogień wybuchający z pod ziemi i grzebiący całe bataliony — to wszystko musi w tych naiwnych nieprzygotowanych umysłach wywołać wrażenie katastrofy żywiołowej i szatańskiego iście rozpętania, o jakiem tyle opowiadali im popi w rodzinnej cerkwi. Oszołomieni moralnie i zniszczeni wódką są ci biedacy doskonale przygotowanymi ofiarami obłędu. Setkami też wracają pociągami sanitarnymi do Charbina lub Mukdenu, gdzie car polecił urządzić dwa specyalne szpitale dla obłąkanych żołnierzy. Odwożenie ich bowiem zwykłymi pociągami transportowymi, skazywało ich zwykle z góry na śmierć. Na rycinie widzimy pociąg sanitarny, przyjeżdżający na stacyę Gundżulin.



Z wojny ros.-jap.: Balon rosyjski pod Mukdenem, przeznaczony do śledzenia ruchów oddziałów japońskich.

Na pomoście stoją sanitaryusze z oznakami Czerwonego Krzyża na rękawach, oraz lekarze, ubrani w białe płaszcze szpitalne.

Przyczyny ataków nerwowych bywają różne. Ot np. pęknie niespodzianie obok leżących na ziemi żołnierzy szrapnel japoński i rozrywając naokół ziemię, pokryje nią nagle żołnierzy. Żołnierze, obok których pęknie taki szrapnel, wpadają naraz w chwilowy letarg. Dopiero po dłuższym czasie odzyskują przytomność umysłu. Zdarzało się w ostatnich walkach, że oficer podniósł szablę w górę, żeby wydać rozkaz. Nagle, jakby skamieniał na koniu, z gardła nie może wydobyć ani jednego dźwięku. Albo inny przykład. Sierżant i żołnierz zbiegli z posterunku i zostali schwytani. Obydwaj ze strachu przed bitwą stracili mowę i rozum. Aby ich nie poznano, przeinaczyli swoje mundury: jeden z nich wywrócił baranicę podszewką na wierzch, drugi poodcinał guziki od munduru.



Z wojny ros.-jap.: Kuropatkin poucza oficerów o obowiązkach straży przednich.

Tensam stan nerwowego i fizycznego wyczerpania panuje i w Porcie Artura. Przyczyniają się do tego w znacznym stopniu i owe nory podziemne, w których mieszkają żołnierze, owe duszne i wilgotne jaskinie bez światła i powietrza, które już same przez się mogą wywołać choroby nerwowe, o jakich się też tyle słyszy i czyta.

O odwadze i dzielności niektórych pułków rosyjskich wiemy z wiarygodnych opisów; dużo tego bohaterstwa robią też niektóre przychylne Rosyanom pióra i ołówki.

Rycina nasza, przedstawiająca walkę o sztandar, bardzo też efektownie takie bohaterstwo chorążego rosyjskiego przed oczy nam stawia. Chorąży, rosłe chłopisko, sam jeden miota się na stoku pagórka. Wokoło stos trupów. Ostatniego Japońca, co mu chce wydrzeć sztandar, tak ciął w głowę, że czapka wysoko podleciała w górę, a sam żołnierz karabin wypuszcza już z ręki i pada. Bardzo to efektowne, ale na jeden taki efekt rosyjski idzie dziesięć rażących wad i błędów. Czytamy mianowicie zbyt często o nadużyciach, dokonywanych z okazyi ofiar, płynących dla żołnierzy rosyjskich na Dalekim Wschodzie. Jeden ze sprawozdawców przedstawia je satyrycznie w ten sposób.



Z wojny ros.-jap.: Oddziały japońskie podczas odpoczynku na polu walki.

Książę Orłow (do jenerała kwatermistrza): Ekscelencyo, oto czek na milion rubli dla naszych biednych żołnierzy w Azyi.

Jenerał (do głównego kasyera): Niech Bóg błogosławi księcia Orłowa! Oto oddaję panu pół miliona rubli, które otrzymałem od niego dla naszych biednych żołnierzy w Azyi.

Główny kasyer (do podwładnego kasyera); Zajmij się pan tymi 250 tys. rubli, które ks. Orłow złożył dla armii.

Podwładny kasyer (do intendenta korpusu): Oto 100.000 dla żołnierzy pańskiego korpusu.

Intendent (do podintendenta): Te 2000 przeznaczył ks. Orłow dla biednych żołnierzy.

Wyjątek z rozkazu dziennego: Z darów nadpłynęły: Pudełko czekolady od pani Muszin, trzy pary spodni — i rubel od ekscelencyi ks. Orłowa.

Tak wygląda satyra, a jak wygląda rzeczywistość, dość wspomnieć tytuły, jakimi Japończycy raczą Rosyan: „Oberwańcy“ słychać co krok. A ks. Orłow dał milion dla biednych żołnierzy.

Ale ktoś powie, Japończyk kłamie. Dobrze, niech mówi Rosyanin. Oto głos rosyjski, szczery i gorący z „Oswobożdienia“.

Wojska nasze popadły w okropny stan. Żołnierze nasi zabłoceni, oberwani, podobni do żebraków. Potracili wszystkie zewnętrzne odznaki przynależności do oddziału; stali się zwykłym motłochem. Trzy, cztery dni nie jeść, to normalne zjawisko. Często można spotkać żołnierza, grzebiącego w ziemi, szukającego korzeni. Nikt nie posiada bielizny, chorych bardzo wielu. Zwłaszcza w opłakanym stanie znajdują się wojska, cofające się — politowania godne były też te oddziały, które przyszły do Mandżuryi wcześniej. Lecz i dziś względny dobrobyt obozującego żołnierza daleki jest od jakiej takiej znośnej doli. I nie dziw, co się miało spożyć, to ogniem spłonęło, często własnemi rękoma podłożonym. O ogólnym stanie wojny nikt nic nie wie. Liczbę rannych i zabitych, nawet w jednym pułku trudno określić. Pociągi sanitarne nie mogą nadążyć, szpitale zawalone chorymi.



Z wojny ros.-jap.: Jen. Zazulicz.

Wielką śmiertelność wśród oficerów przypisują żołnierze nie tylko celności strzałów japońskich, ale i celności swoich. Oficerowie też chowają się w czasie bitwy, co wszyscy zauważyli. Żołnierze na ogół włóczą się całemi gromadami na tyłach stanowisk, pod pozorem znużenia, a w ogniu pracuje mniej, niż połowa.

Na Mukden wszyscy się żalą, skarżąc się, że można po nim chodzić godzinami i nie dostać nic. Niema chleba i bułek, niema cukru, a na sucharach łamią się zęby. Żołnierze znienawidzili Mandżuryę z całej duszy.

W Mukdenie samym coraz ciężej. Z każdym dniem napływa coraz więcej ludzi. Brak mieszkań wielki. Przed kilku miesiącami wynajmywano całą fanzę za kilkaset rubli na rok. Dzisiaj żądają trzy i cztery ruble na dzień.

Chińczycy, przybywający z okolicy, kopią doły, jak psy, nakrywają deskami i mieszkanie gotowe. Miasto roi się od maroderów, przybyłych z Kaukazu. W burkach i „papachach“, z kindżałem za pasem, włóczą się po mieście, dopuszczając się różnych przestępstw.

Ma też przykry żywot i ponure nadzieje flota bałtycka. Zaledwie drogę zaczęła, a już ją czekają zasadzki. Mianowicie wyjeżdża naprzeciw niej admirał japoński Urin. Eskadra jego, licząca 3 krążowniki i 15 kontrtorpedowców, odpłynęła w kierunku południowym, zdążając ku Wyspom Malajskim, gdzie w licznych cieśninach oczekiwać będzie na flotę Rożdżestwieńskiego.

LUEGER W KOŁOMYI.

Opowieść wesoła, zaczerpnięta ze stosunków galicyjskich

przez

Grzegorza Smólskiego.

3 (Ciąg dalszy).

Przyciśniony wielką potrzebą, zagrożony katastrofą, udawał się do znajomych i przyjaciół politycznych o pomoc, lecz jedni mieli dobre chęci a próżną kieszeń, drudzy zaś przy pełnej kabzie tylko wymówki. Jedyną deską zbawienia pozostał hrabia, który jednak niedawno temu zapłacił jego weksel na kilkaset koron. Prowadząc agitacyę na rzecz hrabiego i znalazłszy się w złem położeniu z jego powodu, mógł śmiało udać się do niego o pomoc.

Gdy przybył do Oleksiniec państwo hrabiostwo, którzy mieli gości, siedzieli przy obiedzie. Musiał czekając przesiedzieć dobrą godzinę w przedpokoju. Następnie hrabia z zadowoleniem przyjął do wiadomości doniesienie, jakie mu przywiózł o uchwale komitetu centralnego, chociaż gniewało go, że żyda postawiono z nim „w jednej linii“, lecz gdy redaktor dotknął sprawy pieniężnej, hrabia zrobił kwaśną minę, mówiąc:

— Istny moloch te wybory. Daję i daję bez końca. Tak dalej iść nie może. A ile pan potrzebujesz?

— Najmniej 1200 koron.

— Ależ to straszna suma. Codzień po kilkaset koron — to nie idzie. Studnia wyczerpałaby się.

— Agitacya kosztuje. Bez pieniędzy nic się nie zrobi...

— A niech tę hołotę dyabli biorą!

— Głosy, druki, zgromadzenia, częstunki...

— Pal licho wszystko. Mam tego dosyć.

— Żydzi sypią pieniądze na wszystkie strony.

— Muszę zauważyć wyraźnie, że z ostatniego artykułu pańskiego byłem bardzo niezadowolony...

— Przecież skutek był najlepszy...

— Tak... tak... lecz ja brzydzę się skrajnemi hasłami. Co za koncept ze sprowadzaniem Luegera do Kołomyi. Ja z demagogami nie chcę i nie mogę mieć nic wspólnego.

— Z Luegerem był tylko strzał na straszaka...

— Lecz zawsze rzecz taka rzuca pewien cień. Ja kandydatem antysemickim nie jestem i być nie chcę, a pan mnie ciągle kompromitujesz w tym kierunku. Zakazuję mu wszelkich skrajności. Ja muszę przecież mieć wzgląd na namiestnika, ministeryum, dwór. Hrabia Młodzieński, to nie jakiś Kobędzki, albo Łapczymucha, który może sobie pozwolić wszystkiego.

— Agitacya musi posługiwać się goretszymi hasłami, inaczej trudno wyborców...

— Ależ kochany Panie, ja mandatu poselskiego nie potrzebuję. Robię tylko ofiarę przyjmującego. Kosztów w Wiedniu dyetami poselskimi nie opłacę. Hołota powinna czuć się szczęśliwą, jeżeli który z nas poświęca się dla kraju i narodu, zostając posłem. Zamiast podzięki *„sanki (:) loci“* obrzucą człowieka jeszcze błotem.

Po małej przerwie zapytał hrabia:

— Ileż potrzeba koniecznie?

— Najmniej 1200 koron.

— To bajońskie sumy... o tem niema mowy. Masz Pan 500 koron.

— Drukarnia niezapłacona.

— Gdzie rachunek?

— Nie wziąłem go jeszcze.

— Niech mi drukarz przyszle... Wogóle wszystkie rachunki przysyłać wprost do Oleksiniec. Te 500 koron daję panu...

— Dziękuję najmocniej, lecz...

— Więcej nie dam ani szeląga. Pamiętaj pan, że nie wolno używać skrajnych haseł...

— Zastosuję się do rozkazu. lecz za nic nie ręczę.

— Jakto?

— Przegramy sprawę.

— Masz babo...

— Wyborcy żądają pieprznej strawy.

— To pieprz im pan, lecz w swojem imieniu, tak, żeby nie padał na mnie żaden cień. Po gazetach smarują dość głupstw różnych.

— Trzeba, by koniecznie odbyć zgromadzenie wyborcze. Żydzi nie chcą dać sali ratuszowej, można urządzić zgromadzenie w hotelu angielskim.

— To urządź pan, lecz żeby nie kosztowało zbyt wiele.

— Ostateczny czas, żeby jaśnie wielmożny pan hrabia wygłosił mowę kandydacką.

— Ja miałbym stawać z mową przed pospólstwem! Co pan pleciesz?

— Jest koniecznością...

— Więc ułożę deklaracyę, którą pan odczytasz na zgromadzeniu. A teraz adieu panu, muszę spieszyć do gości.

Redaktor pozostał z pięcioma stokoronówkami. Skąd weźmie resztę, by zapłacić Jojnę? Myśl o tem trapiła go jak zmora.

III.

Kwartalnica nadzwyczaj uroczysta z powodu ważności chwili. Urządzono ją w barwnie przystrojonym ogrodzie, tak zwanej „letnicy“ korzennego sklepu Korpacza, łącząc przyjemne z pożytecznem. Postanowiono odbyć rodzaj zgromadzenia wyborczego, by kandydatom dać sposobność do popisu programowego. Zaproszono przed forum kwartalnicy wszystkich kandydatów, obecnych i nieobecnych. Chciano dać tym sposobem wyraz programowi prezesa br. Seydla, uznającego równouprawnienie wszystkich stronnictw. Miał to być wielki turniej zasad i przekonań.

Urządzeniem kwartalnicy zajmował się osobny komitet, na którego czele stał nieoceniony Jasio, który własnym kosztem przyozdobił suto ogród, postawił prócz dwudziestu szampanów, całe wiadro „erlauera“ i kapelę cygańską, mającą przeplatać mowy dźwięcznemi tony.

Zgotował on kwartalnicy jeszcze jedną niespodziankę zapowiadając, że po mowach kandydackich przedstawi z swej strony nowego kandydata poselskiego. Korpacz i br. Seydel zlękli się początkowo trzynastki, lecz Jasio rozprószył ich obawy, podnosząc, że zaproszona dwunastka kandydatów nie stawi się w pełni.

Libacya zapowiadała się suto. Prócz „fundy“ Jasiowej, zawartość skarbonki wynosiła przeszło 110 koron, przyczem pokazało się, że mimo wszelkiej czujności skarbnika Korpacza, nieznani sprawcy oszukali skarb kwartalnicy w niemałej mierze, wrzucając do skarbonki miast koron, sporą liczbę blaszek tej samej wielkości.

Goście zaczynają się schodzić. Pierwszy przybywa pan aptekarz Szypułka z małżonką Maryą Kazimierą. Ma on także najzawołańszy domorosły syn Apolina wygłosić prolog zagajający. Państwo aptekarzostwo — zajęli miejsce przy stole „cześciwym“, przeznaczonym głównie dla kandydatów.

Prawie równocześnie weszli czterej kandydaci skrajni: Nadymalski, Krikalis, Korcowy i dr. Talkes ze swoimi najściślejszymi przyjaciółmi politycznymi, których razem było sześciu, tak, że na jednego przypadało po półtora prozelity. Kandydaci rzucali na siebie wilcze spojrzenia, jak gdyby chcieli pożreć się nawzajem.

Wciąż przybywali nowi goście. Dziewięciu kandydatów zajęło już miejsca. Trzej nieobecni, lecz mają swoich przedstawicieli na kwartalnicy. Abraham, Jojne i Icyk Grünblau, radni miejscy, reprezentują rabina z Stadlau, Simche Goldstackel. dr Turteltauba, Stanisław Kiełbasowski, przemysłowiec naftowy hr. Młodzieńskiego. Br. Seydel stwierdza z dumą, że wszystkie stronnictwa znajdują się w obozie kwartalnicy.

Korpacz i dwóch sklepowych roznosi wódkę wstępną. Pogadanka przy dźwiękach poloneza. Stronnictwa szykują się do turnieju. Ksiądz dziekan Newełyczko, paroch z Kociubiniec, usiłuje przekonać notaryusza, że najlepszym posłem byłby Czernokus, gdyż jest „korennym Sławianem“. Jojne poważnie, jak patryarcha wielbi rabina Stadlau.

— Wielki człowiek, bardzo wielki — orzeka — takiego posła jeszcze nie buło w Galicyi.

— Wierzę — odpowiada z uśmiechem szyderczym przemysłowiec naftowy z Słobody Rungurskiej, świetny zwolennik hrabiego. Galicya nigdy dotychczas nie wybierała cudzoziemca posłem.

— *Wie hajst czużydżemec* – odpiera z zaprzeczeniem bogacz żydowski. Dla nas *wun* nie *czużydżemec.* Przecie rabin. *Kołomeja* miasto żydowskie, poseł ztąd musi *bicz* żyd.

— Dr. Turteltaub także żyd — zauważył kontrolor pocztowy Waliczka.

— To paskudnyk, nie żyd — ofuknął się Jojne — *wun chodży* po *nemecku* — *wun ji* — *penknułby!* — tref... Taki żyd, co *swój* religii nie trzyma, gorszy od ostatniego goja. *Wolim* pana Namentowskiego, choć antysemita.

— Panie Jojne, — odpowiada Namentowski, urzędnik kolejowy — za sumę miłości pańskiej nic sobie nie kupię. Wolałbym gdybyś pan pożyczył mi ze czterysta koron...

— Antysemitom nie pożyczam pieniędzy, chyba na hypotekę...

— Albo zapłacić przynajmniej wino.

— Jojne *stacz*, Bogu *dżęki*, na wino... *czemubim* nie miał zapłaczicz.

— Panie Korpacz, pan Jojne...

— Nu, ale nie *dżysz,* tylko jutro.

Adwokat dr. Zipfel rozmawia z Serwacym Mądrochowiczem, redaktorem „Makolągwy Huculskiej“, który stanowczo oświadcza się za kandydaturą barona Seydla.

— Wszak pan — czyni uwagę dr. Zipfel — popiera w ostatnim numerze dr. Turteltauba.

— Tak, – odpowiada — lecz ja nie jestem skrępowany, jak inni, — przyczem rzuca znaczący wzrok na swego współzawodnika Niesamowitego, znajdującego się w bliskości — mogę popierać dziś tego, jutro innego. „Makolągwa,“ jak baron stoi ponad stronnictwami.

— A ja państwu powiadam — rzecze inspektor drogowy — że najlepszym kandydatem byłby Jasio — luby i hojny człowiek.

Po wódeczce i przekąsce zagaja baron Seydel zgromadzenie proponując na „cześciwego“ przewodniczącego Abrahama Jojnę, jako najstarszego wiekiem, dodając, że właściwe prezydyum sam będzie prowadził. Oklaski towarzyszą jego słowom,

Redaktor Niesamowity zabiera głos.

— Protestuję — powiada — żeby prawie wyłącznie chrześciańskiemu zgromadzeniu przewodniczył cześciwie żyd.

Krikalis na to krzyczy: Bardzo *proszi* — bez różnicy wyznań!...

Niesamowity: Niepozwalam.

Rządca Szpikalski: Niema liberum veto! Do porządku!

Dr. Talkes: Ja protestuję najenergiczniej przeciwko protestowi pana Niesamowitego.

Nadymalski: Protestuję także... Nam trzeba zgody społecznej... lecz żydzi niepoczuwający się...

Powstaje taka wrzawa, że słów Nadymalskiego nie słychać. Gdy hałas przycichł nieco, woła Jojne gniewnie:

— Co ma ten *kszik* znaczyć?... kiedy *mogim handlowacz z chrzeszczyjane, pażyczacz* im *pieniądżów,* to czemu nie mam im *przewodniczycz* jak pan baron tego żąda.

Zwracając się ku Niesamowitemu dodaje:

— Ja *wim,* to pan taki hałasy robi...

— Precz z prywatą! — odpiera z oburzeniem Niesamowity. — Nie ścierpię tego!

Znowu wszczyna się zamieszanie, wśród którego Jasio z pucharem wina w ręku zabiera głos. Żywe oklaski witają go. Mówi wiązaną mową:

Hej druhowie, co się dzieje!
Wiatr niezgody tutaj wieje;
Zaprzestańmy toczyć wojnę
Ja wam mówię: dobry Jojne —
Jeszcze lepsza kiesa jego
Piję zdrowie reb Jojnego!
Niech nam stary przewodniczy,
Redaktor zaś niech nie krzyczy.

— Głośne wyrazy zadowolenia, burza oklasków przygłuszają wszelkie sprzeciwy. Korpacz stawia ogromny dzwonek przed Jojnę, przy którym siedzi baron Seydel, właściwy kierownik obrad.

— Ależ Kajciu — mówi baron Seydel do Korpacza — cóż to za dzwonek.

— Nie było innego pod ręką — odpowiada — wziąłem od sanek. Dobry, bo bardzo głośny.

Podnosi się biblijna postać Jojny, oznajmiając, że pan aptekarz ma głos. Uroczysta cisza, wielkie naprężenie.

Aptekarz Szypułka, krągły jak beczka, z łysiną jak księżyc w pełni na głowie, wysuwa się na środek promieniejący natchnieniem. Chrząka trzykrotnie, wysuwa nogę prawą naprzód, a rękę prawą wsuwa w zanadrze i rozpoczyna uroczystym drżącym głosem:

Trzebaby Cerwanta, Szekspira, Szilera,
By opisać zdołał, co się u nas dzieje,
Walka bratobójcza w oczy nam zaziera,
Niebo się pioruni, huragan szaleje.
O mandat poselski wrą boje zażarte,
Namiętność wre, strzela... pif, paf nie na żarty—
Lecz my, o druhowie, mimo wojny wszelkiej
Zbratani siedzimy w półcieniu butelki...

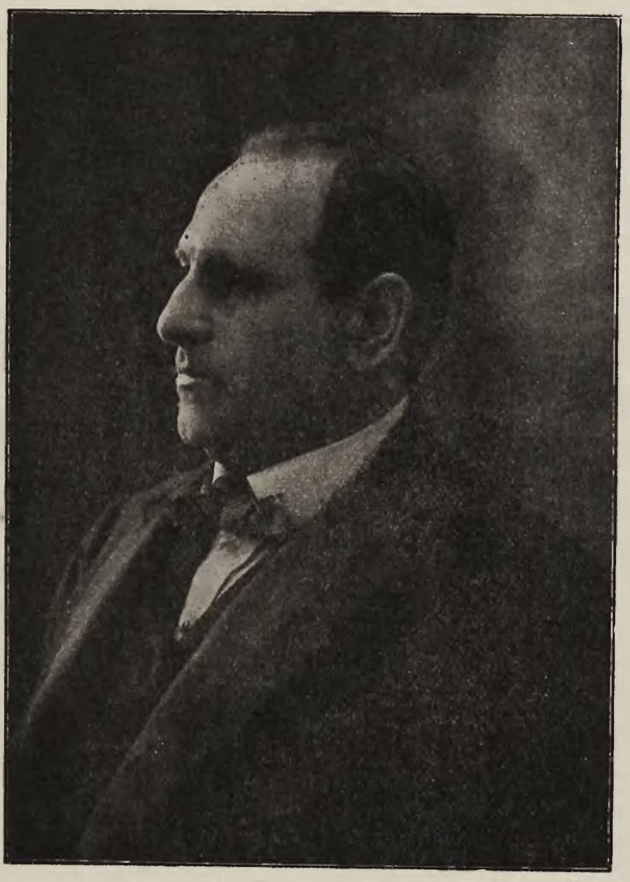
Burza oklasków przygłusza dalsze słowa natchnione. Poeta rozpromieniony wielkiem uznaniem dziękuje czołobitnie skinieniem głowy, a następnie od ust złotosłowych szle całusy obydwoma rękami na wsze strony.

Pani Marya Kazimiera, zauważywszy, iż małżonek jej ciska najwięcej całusów w stronę stołu, przy którym siedziały panny Dusimiechówny, widzi się zniewoloną apostrofować go słowy:

— Wstydź się lubieżniku!... co ciebie obchodzi stół panieński.

— Urojenie duszko — tłumaczy się poeta.

— Nie przerywać! — woła ktoś głośno z towarzystwa. C. d. n.



Ferdynand Feldman.

Migawki teatralne.

Fenomalny okaz aktora, co tyje i tyć nie przestaje... Imputują mu nawet dewizę: „Tyć albo nie tyć — oto jest pytanie.“ Mnie się zdaje, że na to pytanie odpowiedział sobie p. Ferdynand już dawno, oświadczając się stanowczo za pierwszą jego połową...

A zresztą ma wszelkie dane na stopień i rangę aktora-obywatela, aktora we futrze, aktora kapitalisty... *On dit*... I może się nie mylą... Pensya ładna, oszczędnym się jest, *monety* się nie puszcza a „szparuje“ — z takich bywają kapitaliści... Ale prawda, to ma być sylwetka artysty...

Pan Feldman jest bezsprzecznie artystą wcale poważnego znaczenia. Na lwowskiej scenie jest już bardzo dawno i stale się podoba. Nie starzeją się ani on, ani jego powodzenie. Jego *vis comica* utrzymuje audytoryum w złotym humorze przez cały wieczór — jak to o nim zwykło się pisać w recenzyach. To prawda. W każdej niemal sztuce znajduje się dla Feldmana rola lub rólka, a w każdej jest bardzo dobrym. Kto go widział w drobnej rólce ordynansa w „Capstrzyku“, nie zapomni go nigdy... Ale bo też się czasem tak potrafi ucharakteryzować! Krótko: doskonały komik.

Do „nowej szkoły“ Pawlikowskiego musiał i potrafił się dostroić i dzięki temu, nie schodzi z afisza.

Czasami puszcza się na gościnne występy, najchętniej do Warszawy, rzadziej bierze udział jako deklamator czy monologista w dobroczynnych koncertach, a wszędzie towarzyszy mu szczery, serdeczny śmiech i cała fura oklasków... *Nota bene* każe sobie prócz tego dobrze płacić... A warto!

Jest ulubieńcem lwowskiej publiczności, która go chętnie widzi, oklaskuje i która się z niego... śmieje... Taki już los humorystów i komików...

Poza sceną chłop sympatyczny, wesoły i o ile mu tusza pozwala — z manierami... Oj ta tusza!..

Ale wróćmy jeszcze do „Capstrzyku“. Feldman gra ordynansa. Rola mała, polega na tem, że podczas rozprawy wojskowo-sądowej, ordynans wywołuje świadków. Ale jak wywołuje! Jak gdyby komenderował rekrutami na koszarowym podworcu, czego wypadało zaprzestać z powodu przybierającej tuszy, wskutek której zapewne musiał być przydzielonym do lżejszej służby kancelaryjnej.

Stary to wyga ten ordynans, a wygostwo patrzy nietylko z jego okrągłego brzuszka, który musiał wyjadać kanapki i spijać pilznerka w niejednym handelku, patrzy nietylko z jego czerwonego nosa, urągającego wszelkim przepisom *eleuteryi*, lecz i z całego zachowania się — wszakże on się nie waha protestować przeciwko rozkazom przełożonych, mówiąc: „to sie sprzeciwia regulaminowi“ — a chodziło o rzecz tak prostą, jak podanie wody żołnierzowi z oficerskiej szklanki.

Feldman wcielił się tak wybornie w ordynansa, że się zdawało, iż ma się przed oczyma typowego wyjadacza kancelaryjnego w błyszczącem czaku.

Ostatni raz widzieliśmy go w „Lekkomyślnej siostrze“ Perzyńskiego. Gra przemysłowca, czy finansistę, który swą lekkomyślną siostrzyczkę chce gwałtem wyrzucić z Warszawy, żeby godnej familjce nie psuła reputacyi. Kiedy się dowiaduje, że odziedziczyła jakieś pół miliona, nie posiada się z miłości braterskiej, kiedy zaś widzi, że się tych pieniędzy zrzekła, wybuch jego zawiedzionej chciwości niema prawie granic.

Wszystkie te przejścia wykonał Feldmann niezwykle logicznie i z werwą. Jest chwila, w której brat prawi siostrze owacyę pełną przebaczenia. Artysta niemal się poci ze wzruszenia. Za chwilę już, pod wpływem rozrzewnienia, rozrywa krawatkę ze zgrozą i z kołnierzykiem wiszącym tylko na jednej dziurze lata po scenie pełen oburzenia.

Ileż to klejnotów wycyzelował pan Ferdynand na deskach polskiej Melpomeny. Przez ileż to wieczorów hipnotyzował widza humorem. Z ilu ról wyrzeźbił bohaterów. Na jednej z kolumn polskiego Panteonu teatralnego winno się złocić imię: Ferdynand Feldman.

* * *

Młodzieńczy zapał i temperament są w naszym zblazowanym wieku nietylko w życiu ale i na scenie rzadkiemi zjawiskami. Mamy wielu aktorów o pięknych warunkach zewnętrznych, o metalicznym głosie, wybitnej inteligencyi, a nawet wykształceniu, mamy prócz nich cały proletaryat zakulisowy, całą falangę przeciętności i miernot, znanych pod nazwą aktorów „poprawnych“ i „użytecznych“, „sympatycznych“ i t. p. Ludzi utalentowanych z temperamentem i ową werwą, cechującą młodą, pełną zapału i porywów duszę — tych — powtarzamy, jest i na scenie nie wielu. Do niewielu owych należy amant — bohater sceny krakowskiej, Andrzej Mielewski.

Obdarzony z natury pięknymi warunkami zewnętrznymi, a to: wyniosłym, zgrabnym wzrostem, ruchliwą, wrażliwą maską marzącemi niebieskiemi oczyma — posiada w równej mierze i warunki wewnętrzne: inteligencyę, artystyczną „domyślność“ czyli t. zw. intuicyę, co wszystko razem, wspierane niepoślednim talentem, przy wrodzonym zapale artysty — postawiło go w krótkim czasie na wybitnem stanowisku. Charakterystycznym jest głos Mielewskiego. Drga w nim zawsze melancholijna nuta tęsknoty, a w wybuchu posiada siłę dźwięczącego spiżu.

Mielewski, jak ogółem przeważna część naszych artystów, przechodził praktyczną szkołę dramatyczną, którą jest i była dla polskiego teatru: prowincya. Jednym z głównych etapów zawodowych był dla niego teatr stanisławowski, będący wówczas pod mistrzowskim kierownictwem niezapomnianego w dziejach teatru dyrektora: Lucyana Kwiecińskiego. W krótkim czasie zdobył sobie tameczną publiczność i już jako artystycznie dojrzały aktor przyszedł za dyrekcyi Pawlikowskiego do Krakowa.

Krakowa nie opuszczał dotychczas — zżył się z tem miastem podobno jak i ono z nim się zżyło i ku chlubie i pożytkowi sceny naszej pracuje, wybiwszy się ponad tłum miernot. Obecnie Mielewski jest drugim reżyserem krakowskiej sceny.

Z TYGODNIA

Już Świąt zwiastuny: sosny i choinki
Przyozdobiły nam place i rynki
Niosąc wśród miejskich kominów i dachów
Złudzenie lasu i leśnych zapachów.
Biedna choina!... tak zawsze rok rocznie
Gdy przedświąteczna era się rozpocznie
Wyrwana z lasu, gdzie swobodnie wzrasta,
Gdy go z pod niskiej strzechy głód wypędza
Jak chłop za służbą wędruje do miasta
Brak chleba w domu i ostatnia nędza. —
Marzy, że wróci do chaty — o wiośnie
Lecz chłopu bez wsi, jak bez lasu sośnie
I na obczyźnie wśród tułaczej doli
Oboje giną na bruku powoli!...

. . . .

Lecz dziś mniej jakoś jest choinek w mieście,
Czyżby handlarze zrozumieli wreszcie,



Andrzej Mielewski.

Że dla zabawki trwającej dni parę
Szkoda jest dawać lasu na ofiarę?
Że szkoda niszczyć kupiecką siekierą
Młodych drzewinek wzrosłych co dopiero?
Nie! tych skrupułów nie mają handlarze!
Wierzą w to tylko, co interes każe,
I rąbią lasy, tak jak je rąbali
Tylko, że towar swój wywożą dalej
I młodych drzewek ładowne wagony
Idą z Galicyi — hen! — w dalekie strony!
Bo człowiek w handlu sentymentów nie zna —
Idą choinki do Berlina, Drezna,
I zaprzedane w niewolę niemiecką
Niejedno szwabskie uradują dziecko
Potem do pieca są zaś przeznaczone
Prusak przedsięwziął swych lasów ochronę,
Przemyślni kupcy — usiłują zatem
W Polsce się łupem obłowić bogatem
Zarówno drzewa jak i ludzi biorą
Bo na tym handlu zarabiają sporo.

Ogółem smutne dla Krakowa święta
Chorego mamy w mieście prezydenta,
A choć szczęśliwie już minęła krisis
Nieprędko jego zobaczymy fizis!

W teatrze wielki nasz Kamiński gości
I daje poznać polskiej publiczności
Co znaczy sztuka prawdziwa i czysta.
To wielki kapłan — to wielki artysta
Lecz szkoda, że wśród złego otoczenia
Blednie cokolwiek blask jego imienia.
Niech dla teatru będzie dyrektywą,
Że winien karmić nas strawą godziwą,
Że my prawdziwej sztuki pożądamy
Precz sztuki w guście od Maksyma damy!

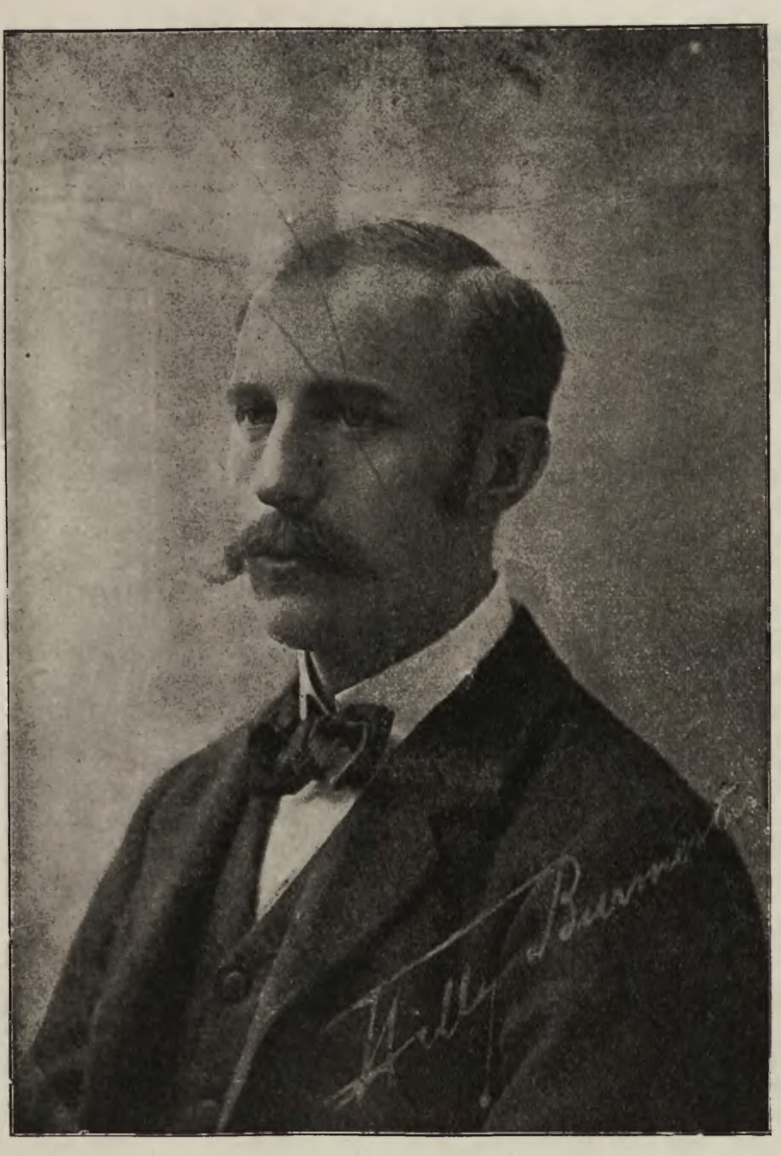
Oto stosunków obraz niewesoły
Smutne są święta, kiedy człowiek goły
I chyba tylko to jedno pociesza,
Że goła razem z nim współbraci rzesza.
Goły kraj, naród, gołe wszystkie stany
I trudno lepszej spodziewać się zmiany,
Chyba, że niebo obdarzy potopem,
Lecz nie deszczówką, ale szczerem złotem
A wtedy każdy dość grosiwa zbierze
Czego i sobie i Wam życzę szczerze!...

Krk.

Kącik humorystyczny.

W Lublinie trupa dramatyczna Barzibadzikiewicza grała sztukę w której jeden z bohaterów już w pierwszym akcie w łeb sobie strzela. Artysta tę scenę samobójstwa oddał z takim realizmem, że publiczność poczęła wołać bis! bis! — zatem artysta podniósł się ze ziemi i jeszcze raz w łeb sobie strzelił.

Willy Burmester.



W krakowskim światku muzycznym i wśród szerokiego koła melomanów, zawrzało jak w ulu.

W gniazdko to padło, jak bomba, wielkie imię...

Willy Burmester...

Stary znajomy, już od lat kilku zadzierzgnął nić sympatyi, między koncertowymi bywalcami nie tylko Lwowa i Kraaowa, lecz także i naszych dziur, pardon, chciałem napisać, miast galicyjskich, które, korzystając z wolnych chwil, chętnie nawiedza — witany na estradzie zawsze z radością, a oklaskiwany z wielkim, nieraz szalonym entuzyazmem.

Sympatycznem bowiem zjawiskiem estradowem jest ten skrzypek. Smukły blondyn o ujmującem obejściu się a dzielnym wyglądzie — wodzi błękitnym okiem po publiczności, uśmiechając się z dystynkcyą do znajomych, których z każdym występem przybywa mu coraz to więcej. Bliższych wita lekkiem skinieniem głowy. Lecz oto wyborny akompaniator, niepowszedni pianista i przyjaciel wielkiego skrzypka prof. Mahr uderzył wstępnych parę akordów z werwą właściwą sobie — wesołemu Alzatczykowi — wychowanemu nad brzegami Renu... Burmester kładzie na struny smyk i... rozpoczyna się tajemnicza godzina czarów, jakie rozsiewa ten artysta na chłonących z zapartym oddechem jego granie słuchaczy... wielkie gody muzyczne, na które dusze, pielęgnujące i uwielbiające piękno w muzyce — w szacie godowej, pełne namaszczenia i powagi.

Niezwykłe koleje przechodził Burmester, zanim stanął na tej wyżynie, na której podziwia go świat cały. Urodził się w Hamburgu 16 marca 1869. Ojciec jego równie tęgi skrzypek, poznawszy się wcześnie na talencie syna uczył go sam do 14-go roku życia w którym oddał go do mistrza Joachima.

Po kilku latach nauki wystąpił Burmester z konserwatoryum, dał parę koncertów w Rosyi i Niemczech, jednak bez wielkiego powodzenia. To zniechęciło artystę do karyery koncertowej — tak, iż postanowił, oddać się wyłącznie pracy pedagogicznej i przyjął ofiarowane mu miejsce profesora konserwatoryum w Helsingforsie (Finlandya). Tu strawił lat osiem na pracy nad uczniami i nad sobą — w kierunku rozrośnięciu techniki, Zachęcony przez kilku znawców, wystąpił w r. 1894 w Berlinie.

Jakże odmienną była teraz opinia arysturchów z nad Sprei... „żerzniętego“ niegdyś skrzypka, przyjęto z zachwytem krystalizującym się w takich wykrzyknikach jak „Paganini redivivus!.. Bajeczna technika!... coś niesłychanego“ i t. d.

„Zlany“ niegdyś Burmester, okazał się figlarzem nie lada. Cały program ułożył z utworów Paganiniego i roztoczył wobec zdumionych słuchaczy potężną technikę nie uznającą żadnej trudności, żadnych przeszkód.

„Jako wykonawca Paganiniego — pisała Norddeutscherka — jest Burmester po prostu niedoścignionym — bez konkurencyi“.

Ale zaraz drugim swoim koncertem pokazał Burmester, że nie tylko szatańskie sztuczki tajemniczego mistrza skrzypiec potrafi wykonywać, lecz udowodnił, że rozporządza tak samo piękną kantyleną, słodkim, pociągającym tonem, że techniczna doskonałość jest dlań tylko środkiem do celu — a nie celem samym. I rzeczywiście... oczarowana publiczność musiała przyznać, że Burmester jest nie tylko wirtuozem, ale i artystą w każdym calu, bo wszystko, co zagrał, nosiło na sobie piętno... mistrza.

Tak więc zdał Burmester swój egzamin wobec berlińskiej publiczności z... odznaczeniem i został odtąd skrzypkiem, że użyję słów krakowskich, „jak się patrzy“.

Od tej chwili wzrastała sława skrzypka jak lawina — coraz szybsza i coraz większa, tocząc się tylko w porządku — odwrotnym do gaży.

Oklaskami za wspaniałą grę jego rozbrzmiewają sale koncertowe, w których czaruje kantyleną, a zdumiewa techniką. A propos tej kolosalnej techniki, udał się jednemu z krytyków zagranicznych dość dobry „Witz“. Krytyk ten, dziękuje Bogu, w jednej ze swych recenzyj za to, iż Burmester przyszedł nie w wiekach średnich na świat, lecz dopiero za naszych czasów. „Nie uchowałby się — powiada — pod żadnym warunkiem, gdyż za czary zginąłby na stosie, jak amen w pacierzu“.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, iż Burmester szuka tylko efektów natury technicznej. Ze szczególnem zamiłowaniem zatapia się on w świat myśli Bacha i trawi całe miesiące nad wyrzeźbieniem jednej frazy ukochanego autora.

W jednej z swych wędrówek po prowincyi — miałem przyjemność gościć wielkiego mistrza, pod skromną mą strzechą. — Rozmawialiśmy wiele o muzyce przy herbacie po koncercie.

Rozmowa zeszła na Bacha.

„Zdawało mi się nieraz“ — są jego słowa — „gdym wziął do rąk jaką „Allemandę“ lub „Courante“ i zobaczył te szeregi szesnastek, że niemożliwością jest tchnąć w nie życie, a cóż dopiero zająć niemi publiczność, żądną efektownych błyskotek“. — „Lecz im dłużej wnikałem w te hieroglify, tem więcej oczy me otwierały się na ich piękność i wreszcie oczarowany — nie mogłem po za niemi już w niczem zasmakować.“ — Istotnie gra też na wspaniałym swym „Guarnerim“ — który nabył od znakomitego niegdyś pedagoga Dancla, — ulubionego Bacha tak, jak żaden ze skrzypków współczesnych.

Wielkiego wirtuoza i niepospolitego artystę, witamy z radością w naszych murach. *urs.*

TAJEMNICZA WILLA

(Z opowiadań włamywacza na tle prawdziwych zdarzeń).

Z angielskiego przełożył

KAZIMIERZ E.

11 (Dokończenie.)

...Zresztą po co opisywać dalej tę scenę, po co opowiadać to, czego dziś dokładnie nie byłbym w stanie powtórzyć!... Dość jeśli powiem, że w godzinę później opuściłem pokój Teresy już jako jej narzeczony.

Zostawiliśmy ją samą, aby wypoczęła po tych wzruszeniach, jakie przeszła w ostatniej chwili, a sami poszliśmy do gabinetu profesora.

Tu doktor Follen znów uchwycił się za głowę i przechadzając się nerwowym krokiem mruczał:

— Dalibóg, że pojąć tego wszystkiego nie mogę! Czyż to możliwe, żeby moja córka, moje najukochańsze dziecko brała sobie za męża włamywacza?!... Ale cóż miałem jej odpowiedzieć, gdy mnie spytała o pozwolenie? Może zabronić jej tego, a tem samem na śmierć ją skazać?!...

— Słuchaj pan! — rzekł w końcu — zwracając się do mnie — pan doprawdy musiałeś się w czepku urodzić, że masz takie wściekłe szczęście! Ale mam nadzieję, że będziesz pan takim zięciem i takim mężem, iż ani ja, ani moja córka nie będziemy musieli wstydzić się ciebie, lub też żałować kiedyś później naszego wyboru!...

— O! za to mogę panu zaręczyć! — odpowiedziałem poważnie — i składam panu najświętsze przyrzeczenie, że postępowanie moje tylko panu i twojej córce zaszczyt przyniesie.

Profesor spojrzał mi w oczy i podał mi rękę, którą serdecznie uścisnąłem.

Nikt nawet ja sam nie byłbym przypuszczał, że historya mego włamania się do tej tajemniczej willi zakończy się w taki sposób!...

A jednak było jeszcze coś, co mi nie dawało spokojnie zasnąć! Nie mogłem zapomnieć o owym przestrachu, jaki uczułem, znalazłszy w skrzyni trupa zatopionego w gaszonem wapnie i te drugie zwłoki zachowane w tajemniczym słoju...

— Panie doktorze — rzekłem — nazwij pan postępowanie moje, jak chcesz, ochrzcij je ciekawością, czy natręctwem, lecz nie odmów mojej pierwszej prośbie, wytłumacz mi, co znaczą te trupy, a raczej te zwłoki, ukryte w pańskiej pracowni? Czy zechcesz pan spełnić mą prośbę?...

— Z przyjemnością — odrzekł profesor Follen, uśmiechając się dobrotliwie — tylko, jak uważam, spodziewasz się pan usłyszeć coś nader senzacyjnego. Niestety! Zawiedziesz się pan zupełnie w tym kierunku.

Otóż uważasz pan szkielet, który odkryłeś pan w metalowym słoju, należał do jednego z pańskich poprzedników, który do willi tej dostał się tą samą drogą, co pan, i z tymi samymi zamiarami. I on spotkał się z podobną, jak pan propozycyą z mojej strony i przyjął ją bez wahania. Nie mogłem jednak tej samej nocy wykonać na nim operacyi, gdyż był zanadto osłabiony, gdy zaś następnego dnia przyszliśmy z Franciszkiem do jego pokoju, ujrzeliśmy go wiszącego na sznurze, uwiązanym do haka od lampy. Sam sobie odebrał życie. Przy sekcyi, jakiej dokonałem na nieboszczyku, przyszedłem do przekonania, że nieuleczalna choroba trawiła dłuższy czas jego organizm i że truła mu krew tak, że gdybym był jej użył, mógłbym był tylko zaszczepić mej córce nową najstraszniejszą chorobę. Co zaś skłoniło go do odebrania sobie życia, czy obawa przed transfuzyą, czy cierpienia, jakie spowodowała choroba, tego doprawdy nie wiem!

Tu doktór Folten umilkł na chwilę, poczem z zachmurzoną twarzą począł dalej mówić:

— A ta skrzynia, o której pan wspominałeś, zawiera zabalsamowane zwłoki młodego mężczyzny. Twarz prawie dziecinna, bez żadnego zarostu i długie czarne włosy wprowadziły cię w błąd! Myślałeś, że to kobieta! Do kogo zaś należały te zwłoki, tego byś nigdy nie odgadnął! Tak! te zwłoki należały do owego włoskiego szlachcica, który starał się o rękę mej córki, co Franciszek z mego polecenia pewnie ci musiał opowiedzieć, a który, zginąwszy w pojedynku, potem jako upiór niszczył życie mej najukochańszej Teresy...

Zadrżałem cały i zapytałem lękliwie:

— Rozumiem! ale w jaki sposób przyszedłeś pan do posiadania tych zwłok?!...

— Kradzież zwłok w interesie nauki wśród medyków nie należy do rzadkości! — rzekł chłodno profesor — a we Włoszech za pieniądze wszystkiego można dostać! Dyssekowałem zaciekle te zwłoki, badałem każdy nerw, każdy muskuł, lecz nigdzie nie mogłem odkryć siedliska, w którym ukrywał się upiór! Niestety, cała ma praca była bezskuteczną!...

— Tak, ale gdyby się panna Teresa była dowiedziała, że pod tym samym dachem, co ona przebywają zwłoki jej prześladowcy, toby z pewnością...

— Umarła! — dokończył profesor — ale na tym punkcie umiałem dobrze otoczyć me postępowanie jak najściślejszą tajemnicą!...

— Teraz jednak — uśmiechnąłem się wesoło — oba trupy w ziemi znajdą zapewno pomieszczenie?...

— Naturalnie! — rzekł wesoło doktór. — Już nawet dałem polecenie Franciszkowi, aby się zajął ich pogrzebem!...

. . . .

Na tem kończy się moja historya o tajemniczej willi! Nie myślę bowiem chwalić się mem szczęśliwem pożyciem małżeńskiem, tak jestem o nie zazdrosny, tak cały czar jego chciałbym tylko dla siebie zachować!...

KONIEC.



ZNALAZŁEM!

Monolog.

Słysząc zwierzających się przedemną, że coś zgubili lub znaleźli, odpowiadałem zawsze:

— Ja, Bogu dzięki, nigdy niczego nie zgubiłem, ale też i nie znalazłem, jak długo żyję.

Od piętnastego jednak tego miesiąca już nie mogę tego powtórzyć, niestety! Bo też dostałem nauczkę, co się zowie. Zapewniam panów, że gdyby tu przedemną leżała na ziemi tysiączka – nie podniósłbym jej. Nie podniósłbym! Żebym tak szczęście miał do handlu!...

Jak powiedziałem, było to piętnastego. Pogoda była wspaniała, niebo ciemno błękitne jak oficerskie pantalony, a słonko oblewało błyszczącą pozłotą dachy kamienic i kopuły wież kościelnych. Czułem się szczęśliwym i spokojnym, rzekłem więc do siebie:

— A nie byłoby to dobrze wsiąść do tramwaju i pojechać do Jordana?

I przystanąłem na Sławkowskiej.

Nie minęła minuta — patrzę: co to leży na ziemi? Korona!

Ucieszyłem się, jak żak... boć to było pierwszy raz w mojem życiu! Oglądam się tedy — nikogo niema w pobliżu.

— Skoro ci los daje — powiadam sobie — bierz i korzystaj! Kupię sobie wonne trabukos, a za resztę tytoniu.

Wpadam do trafiki, czyli, jak to w Warszawie sztuczniej nazywają po polsku: do „dystrybucyi“, i proszę o trabukos. Rzucam koroną na ladę, cygaro obgryzam z apetytem i już mam je zapalić, gdy wtem słyszę:

— A! mam przecie tego gałgana, co mi tu już od tygodnia przynosi fałszywe korony!

Piorun z jasnego nieba!... Jeszcze z przerażenia do słowa przyjść nie zdołałem, gdy trafikantka, baba nawiasem mówiąc jak Herkules, wyleciała z poza lady, uchwyciła mnie za poły od surduta, a otworzywszy drzwi od sklepu, zaczęła wrzeszczeć z całego gardła na ulicę:

— Mam go! mam tego huncwota! tego oszusta! mam tego łotra!

Bronię się, krzycząc również co siły i może byłbym się nawet wyrwał z żelaznych łap sklepikarki, gdyby nie dwóch węglarzy, przejeżdżających mimo nas, którzy przyskoczyli i złapali mnie za kark!...

Wepchnięty siłą z powrotem do sklepu, wlazłem obcasem na łapę jakiegoś mopsa, który zaczął straszliwie skowyczeć; ludzi tymczasem tłum się już zebrał pod sklepem, a jakiś szewski chłopak krzyknął:

— Po tramwaju skisia! żeby mu aż pasażery wylecieli!

Tłum wpadł do sklepu. Ktoś mnie palnął laską w kapelusz; szarpnąłem sobą z całej siły — cała falanga zatoczyła się na drzwi, z których jakieś tablice, czy anonse porozlatały się aż na gościniec. Wolnym się czując, wpadam w otwarte drzwi i w tej chwili dostaję pięścią w kark tak straszliwe pchnięcie, że padam z dwóch schodków progu prosto na ogromną tacę ciastek, przewracając sobą chłopca z cukierni, który ją trzymał.

Nieszczęście chciało, że ciastka były z powidłami, a powidła rozmazały się po całej mojej twarzy i wąsach!... Tłum, obecnie już olbrzymi, ryknął śmiechem... i możeby to wzięło szczęśliwszy obrót, gdyby nie ten szewski chłopak, który — (djabli wiedzą skąd mu to przyszło do łba?) wrzasnął:

— Zamordował trafikantkę, kanalia, i zabrał kasę!...

Nowy pomruk i groźne krzyki! Dostałem znowu parę kułaków po głowie, zacząłem wyć i otrząsać się z natłoku. Nagle słychać pisk:

— Dziecko! dziecko! rety Maryjo!...

— Ustąpić! ustąpić, bo dziecko!

— Zemdlała! mamka zemdlała!

— Wody! wody!

— Na bok!

— No, proszę panów! potrzebna tam była mamka z dzieckiem w takim tłumie?

Ale nie koniec awantury! Ktoś popchnięty przypadkiem, czy umyślnie w sklepie, wybija drugą połowę drzwi! paczki tytoniu i cygara wylatują na chodnik, ludzie rzucają się do zbierania, a zwłaszcza mali chłopcy!... A myślicie panowie, że mnie ta baba popuściła choć na chwilę?... Nie!... przylepiła się do mnie jak pijawka, surdut mi rozdarła do pół pleców, guziki poodrywała, krawat potargała... Nareszcie, roztrąciwszy tłum, przypadło do mnie dwóch policyantów.

Bez kapelusza, z kołnierzykiem rozdartym na uszach, umazany powidłami, powiadam:

— Pozwólcie, panowie, że wam całą tę awanturę wyjaśnię!...

— Zamknij gębę — huknął kapral — będziesz się tłumaczył na inspekcyi! a teraz w prawo marsz!

Wołam o kapelusz — ktoś mi go wsadził na głowę: połamany, zdeptany istna masa filcu i błota!...

Tymczasem baba zamknęła sklep i z mopsem na ręce asystuje nam do policyi. Za nią idzie chłopak z cukierkami z tacą pod pachą, ów andrus od szewca, co tak wrzeszczał i cały olbrzymi tłum, czart wie, po co i na co?,..

Krzyk, gwar, pisk, natłok, gwałt!

W dyrekcyi policyi znali mnie jako spokojnego i porządnego obywatela — spisawszy tedy protokół, komisarz puścił mnie do domu.

Ale jakże mogłem był wyjść na ulicę w takim stanie? Wsiadłem do dorożki i kazałem się zawieść do mieszkania, gdzie żona w przestrachu natychmiast sprowadziła doktora, a ten kazał mi kłaść kompresy lodowe.

. . . .

Pięć wizyt zatem lekarskich po pięć koron, to dwadzieścia pięć; dorożka, lód, chinina, pięć koron, to trzydzieści. Wartość potarganego surduta i kapelusza pięćdziesiąt ośm koron — razem: ośmdziesiąt koron — za jedną znalezioną koronę!... a mój kark, moja głowa, moje zdrowie — no! proszę rozważyć!...

. . . .

Panowie! nie podejmujcie nigdy nic ze ziemi!

Pablo.

Zagadki do nagrody.

Zadanie kwadratowe.

A	A	A	A	A	A	E
E	E	E	I	I	I	K
K	K	L	L	L	L	M
N	N	N	N	O	O	O
O	O	P	R	R	R	R
R	S	T	T	T	T	T
T	W	Y	Y	Y	Y	Z

W powyższym kwadracie poprzestawiać litery w ten sposób, aby powstało 7 wyrazów o następującem znaczeniu. 1. Związek chemiczny. 2. Błazen. 3. Sztukmistrz. 4. Wyraz, wzięty za zadanie. 5. Miasto w Niemczech. 6. Ciało niebieskie. 7. Zgromadzenie Stanów w Hiszpanii lub Portugalii.

Środkowe litery, czytane w kierunkach poziomym i pionowym, dają nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego.

Szarady.

Ułożył W. K.

I.

Pierwsza-trzecia: pieczeń w sosie, albo marynacie,
To potrawa wyśmienita — wszyscy mi przyznacie...
Druga-trzecia: owoc w żółtawym kolorze –
Całość: obszar ziemi – oblewa go morze.

II.

Pierwsza-druga: miasto w łacińskim języku.
Druga-pierwsza-trzecia: zawarta w łupinie...
Całość: imię żeńskie — zgadnij Czytelniku,
A sowita nagroda pewnie cię nie minie.

Zagadka dyamentowa.

A
A A A
A A A A A
A A A B C C C
D D E E E E E E E
E E E G I I I I I I I
K K K L L L L Ł Ł Ł M M N
N N N N N N O O O O O
O O O R R R R R R
R R S T T T T
T W W W Y
Y Y Z
Z

Z powyższych liter ułożyć wyrazy o następujących znaczeniach:

1. Samogłoska.
2. Spójnik.
3. Mówca.
4. Przyrząd do prac chemicznych.
5. Kraina w Ameryce.
6. Imię męskie.
7. Wyraz wzięty za zadanie.
8. Miasto w Egipcie.
9. Amator ryb.
10. Historyk polski.
11. Miasto we Francyi.
12. Część twarzy.
13. Samogłoska.

Środkowe litery tych wyrazów, na krzyż czytane, dadzą imię i nazwisko zasłużonego pisarza i lingwisty polskiego.

Kryptogryf literacki.

Orzeszkowa	
Bolesław Prus	
Sienkiewicz	
Tetmajer	
Mickiewicz	
Gliński Kazimierz	

W podanym prostokącie, obok nazwisk wymienionych autorów, napisać po jednym tytule ich utworów, aby początkowe litery tych utworów, czytane z góry na dół, utworzyły nazwę dramatu Słowackiego.

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Klonowe liście“, nowela W. Stefanyka.

Rozwiązania z Nru 10.

Rebus: Nie trzeba dopuszczać, ażeby na drodze przyjaźni trawa wyrosła.

Szarada: Kołomyja.

Logogryf: Paderewski — opera Manru.

Zadanie krzyżowe: Godzina, pozłota, kwiotek.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp.: J. Karpiński, Parylakówna, Szatkowski, Cetera, Mika. Witoszyński, Rubinger, Walter, Reklewski, Szpak, Kolbakówna, Zaruski, Nożyński, Grabowska, Arbesbauer, Sadliński, Stadnik, Walczak, Błoniarz, Biestek, Rogalski, Gałczyński, Josefert, Ramułtowa, Chrząszczowa, A. Małaczyński.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. Arbesbauer Lwów. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

KTO POSIADA MUZYKALNE UCHO

NAWET GDYBY NIGDY NA ŻADNYM INSTRUMENCIE GRAĆ SIĘ NIE UCZYŁ

MOŻE WYKONYWAĆ ZA POMOCĄ

SAMOGRAJÓW

NA KAŻDYM FORTEPIANIE I NA KAŻDEM PIANINIE

WSZYSTKIE UTWORY LITERATURY MUZYCZNEJ, NIE WYŁĄCZAJĄC NAJTRUDNIEJSZYCH

POD WZGLĘDEM TECHNICZNYM:

BIEGLE, CZYSTO I RÓWNO

JAK ŻADEN WIRTUOZ — NAWET NAJZNAKOMITSZY — WYKONAĆ NIE ZDOŁA

POD WZGLĘDEM DUCHOWYM:

DOWOLNIE WEDŁUG WŁASNEGO POJMOWANIA I ODCZUWANIA WYKONYWANEGO UTWORU.

PRZY JEDYNIE FIZYCZNEJ PRACY GRAJĄCEGO, WYKONANIE UTWORU PRZEZ SAMOGRAJE NIE RÓŻNI SIĘ NICZEM OD WYKONANIA PRZEZ JAKIKOLWIEK AUTOMAT. JEŻELI NATOMIAST GRAJĄCY MUZYKĘ KOCHA I ROZUMIE, OD ILOŚCI I JAKOŚCI WYŁOŻONEJ PRZEZ NIEGO PRACY DUCHOWEJ ZALEŻY, O ILE WYKONANIE PRZEZ SAMOGRAJE PRZEWYŻSZY NAWET NAJIDEALNIEJSZE WYKONANIE NAWET NAJGENIALSZEGO WIRTUOZA.



SAMOGRAJE BEZ NUT KOSZTUJĄ:

PIANOLA. . . .	Koron	1400
PIANAUTO . . .	„	1200
ANGELUS . . .	„	1000
PIANISTA . . .	„	800
PARAGON . . .	„	600
ORGANISTA .	„	400



WYŁĄCZNY ZASTĘPCA NA GALICYĘ I BUKOWINĘ: GABRYELSKI — KRAKÓW.

ORYGINALNE SINGERA MASZYNY do SZYCIA

Imię

„SINGER“

jest dla maszyn do szycia

skutkiem światowej sławy, jaką sobie nasza fabryka zjednała przez 50-letnią sumienną działalność — najlepszą gwarancyą wyborowego materyału i wzorowej konstrukcyi. To właśnie jest powodem, dla którego wiele innych fabryk i firm, trudniących się sprzedażą maszyn do szycia, usiłują sprzedawać maszyny do szycia pod wprowadzonemi przez nas oznakami, naprzykład: **„Central-Bobbin“** a nawet pod nazwiskiem **„Singer“**.

Nie należy zatem pozwolić się tego w błąd wprowadzać, przy kupnie zaś maszyny do szycia zapytać się wprost, czy takowa pochodzi od naszej firmy i nie zadawalniać się wymijającemi odpowiedziami.

Singer Comp.

Towarzystwo akcyjne Maszyn do szycia

Kraków: ul. Szpitalna 40 naprzeciw teatru miejskiego, Kazimierz, ulica Wolnica.

Filie w Zachodniej Galicyi: **Tarnów:** ulica Krakowska 4/5. **Rzeszów:** Trzeciego Maja 5. **Nowy Sącz:** ulica Jagiellońka. **Chrzanów:** Rynek.

Najstosowniejsze

Podarki na Gwiazdkę

poleca

M. JAKUBOWSKI

Kraków, Sukiennice l. 26, 27 od strony Ratusza

Lwów, Plac Maryacki l. 10

Wyroby srebrne, platerowane, bronzowe w wielkim wyborze

po cenach fabrycznych.

NA RATY

tygodniowe lub miesięczne można nabyć maszyny Singera do szycia i haftu, lustra, obrazy, zegary, dywany, portiery, chodniki, kapy na łóżka, meble żelazne itp. — Wielki wybór. Ceny bardzo przystępne.

Arnold Fallek, Podgórze
Rynek gł. l. 10, I. piętro.

Zjednoczone austryackie akcyjne Towarzystwo Żeglugi Parowej w Tryeście

„Austro Americana“

Jako jedyne austryackie Towarzystwo Żeglużne, które na mocy rozporządzenia ministeryalnego z 30 kwietnia 1904 r. l. 21.903 upoważnione zostało do tworzenia agencyi i zastępstw ustanowiło

Generalną Agencyę dla Galicyi i Bukowiny.

Zadaniem tej jest: oprzeć swą działalność na rzetelnej podstawie, ochronić Wychodźców od wszelkiego wyzysku i skierować ruch Wychodźtwa, o ile możność, przez **austryacki port Tryest.**

Wszelkie wyjaśnienia oraz sprzedaż **kart okrętowych**

w Generalnej Agencyi
w Krakowie, ul. Lubicz l. 7

oraz w Generalnych Agencyach: w Brodach, Podwołoczyskach, Czerniowcach, Nadbrzeziu, Szczakowej, Oświęcimiu i innych Agencyach. 6-10

Kartki, przedstawiające Wilię Bożego Narodzenia **w Królestwie polskiem i w Mandżuryi** sprzedawane będą w Krakowie w handlach: W-go Fischera, linia A-B, W-go Fenza Rynek, róg ul. Szewskiej i W-go Karlińskiego w Sukiennicach

Czysty dochód przeznaczony na Ochronkę w Krośnie.

Na święta Bożego Narodzenia! Wszelkie zamówienia wykonuje jak najstaranniej i po najprzystępniejszych cenach.

Fabryka Cukrów i Herbatników

Ferdynanda Theuera, Lwów, pl. Halicki l. 12.

Zamówienia z prowincyi odwrotnie. 11-14

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Aleksander Ripper. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.